Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 24 października 1937 r. — Nr. 43



SMUTEK

Pożółkłe zczerniałe wieńce
i kwiaty ręką rozwarte,
i smutek —
żałobną chorągwią
nad sercem rozpostarty...

Otchłań bez dna i bez myśli —
Noc, co zwątpienia rodzi.
Poranek, co z mgły się wynurza
i w noc — powrotną odchodzi...

Skrwawione plamy liści,
jak serca porzucone
i pustka mgły bezbrzeżna
i obca świata strona.

Wiatr strzępy mgły rozwiewa
i polną brzozą kołysze...
Gwiazdy niebieskie i złote
gasną wśród ciszy...

Dzień się wyłania pożółkły
i w stawie srebrzystym tonie...
w pobliskiej wiosce płaczą
w mgle zatopione dzwony...

Józef Baranowski.

MARIA REUTT

11)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Gdy Ludka szła wolno i niechętnie po schodach, panny udzielały sobie wrażeń:

— Szczęśliwa ta Ludka. Na obiedzie była w Cristalu, przejechała się samochodem po mieście, a w dodatku z hrabią — westchnęła panna Helena od statystyki, biedna, jak przysłowiowa mysz kościelna.

— Są jeszcze na świecie takie, co się w czepku rodzą — dodała panna Antonina od kasy.

A Ludka już była na górze, triumfująca, rozmarzona.

— Macie, jedzcie! — wołała od progu, kładąc na stół pudełko z czekoladkami.

— O, prawdziwe wedlowskie! — rzuciły się panny na słodycze.

Sumując w dalszym ciągu rachunki, Ludka poprzez radość spotkania, myślała z zawodem:

...a jednak nie oświadczył się, nie powiedział nawet właściwie nic, coby mówiło o jego miłości.

Natura wszakże ludzka lubi się łudzić nawet i wtedy, gdy nie ma ani cienia nadziei, więc i ona pocieszała się, że nie powiedział dziś, ale może jednak kiedyś, może na Boże Narodzenie szepnie jej to wymarzone słowo.

POLSKA WIEŚ SPOKOJNA...

Na wsi po kilku dniach niepogody nastało śliczne słoneczne jesienne popołudnie.

W Ciemierzewie smażono w ogrodzie powidła w ogromnym kotle, wkopanym w ziemię. Zajęta była przy tej robocie cała dworska służba z panią domu na czele.

Dziewczynki przejęte kręciły się również koło kotłów, bo smażenie powideł to święto ogrodnicze — zakończenie sezonu owocowego w sadach.

I Danka przyłączyła się do ich towarzystwa. Usiadła na murawie obok pani Ciemierzewskiej i z zajęciem śledziła proces gotowania. Przypomniał jej się dom rodzinny, gdy w wieku Mani i Józi z przejęciem brała udział w robieniu powideł w Ochorowie.

...Objadałam się śliwkami wówczas aż do niestrawności — uśmiechnęła się do wspomnień.

Śliwki smażyły się powoli.

Ogromną warząchwią wybierano papkę śliwkową z kotła i przecierano nad cebrem przez „durszlak", odrzucając pestki dotąd, aż w kotle zaświeciło dno. Wtedy z powrotem wrzucano papkę do kotła dla dosmażenia. Robota żmudna, powolna, a wymagająca dozoru, by śliwki się nie przydymiały, no i nie ginęły, zbyt masowo w łakomych zawsze na owoc gardłach smażących.



Greta Garbo kreuje rolę pani Walewskiej w nowym filmie amerykańskim p. t. „Ukochana Napoleona"

Danka siedziała obok pani Ciemierzewskiej i wdychała świeże, ostre powietrze, zmieszane z zapachem gotowanego owocu.

Już nad samym wieczorem z dali, dobiegł odgłos trąbki samochodowej.

Zaniepokoiła się pani Ciemierzewska. Goście dziś byliby bardzo niepożądani. W domu nieład, służba zajęta, ona sama w najskromniejszej codziennej sukni...

Zwróciła się do Danki.

— Może pani zobaczy — kto jedzie i czy do nas?

Danka chętnie podniosła się z miejsca, sama zaciekawiona. Towarzyszyły jej dziewczynki, biegnąc w stronę ogrodzenia, skąd dochodził odgłos pędzącego samochodu.

Za sztachetami ciągnął się wstęgą białą gościniec wśród pól i łąk zielonych.

Po tej to drodze pędził czerwony, otwarty samochód.

— Hrabia jedzie, zawołała Józia, puściwszy się pędem do matki z nowiną.

Ale nie był to tylko on sam.

W samochodzie siedziały dwie panny, stało dwóch mężczyzn z braku siedzenia i... Danka zamrugała powiekami nie wierząc sobie.

Andrzej, w tym rozbawionym gronie!

Zabolało ją to i na twarz padł cień zmartwienia.

Minęli ją błyskawicznie, nie zauważywszy i skręcili w bramę. Zawróciła do pani Ciemierzewskiej i powiedziała, kto przyjechał.

— Ach, Boże — stęknęła pani domu, wstając z miejsca. — Potrzebni mi byli akurat dziś ci goście. Nie mogli się wybrać innego dnia! Gosposia zajęta powidłami, jak ja pójdę do kuchni, kto tu dopilnuje...

— Ja zostanę — ofiarowała się Danka.

— Jaka pani miła! — ucieszyła się, ale tylko na chwilę. — Nie, tak nie można. Musi pani wyjść do gości. Już wiem, co zrobię: poproszę ekonomowej, ażeby przyszła i dokończyła roboty. Józiu — zwróciła się do córki — pobiegnij do pani Korzeniakowej i poproś, żeby tu przyszła mnie wyręczyć.

Dziewczynka skrzywiła się, lecz posłuszna zawróciła do folwarku. Pani Ciemierzewska, narzekając, ruszyła do domu w towarzystwie Mani.

Danka została sama.

Położyła się na desce i wpatrzyła w szare niebo. Było jej tu dobrze w ogrodzie i choć oceniała życzliwość chlebodawczyni, wolałaby jednak zostać przy powidłach.

Niedługo cieszyła się samotnością. Przejęta, zdyszana, okryta czystym fartuchem, okrągła jak baryłka, przytoczyła się pani ekonomowa i zasypała Dankę gradem swej wymowy.

— Pani dziedziczka chciała, abym ją zastąpiła. Naturalnie, że z przyjemnością — wdzięczyła się do Danki — zrobię co tylko będę mogła, postaram się jak dla siebie. Matka nas bardzo praktycznie wychowała, o, ostra była... Mówiła zawsze: chcecie, żeby was mężowie kochali, uczcie się gotować, bo u mężczyzny tylko przez żołądek droga do serca...

— Muszę już iść — westchnęła Danka, która nawet nie słuchała tej gadaniny, podnosząc się z ziemi. Nie od razu jednak odeszła. Porozmawiała jeszcze chwilę z panią ekonomową o jej córeczce Kasi, która narazie chodziła do szkoły ludowej i za rok miała uczyć się dalej w Częstochowie.

— — — — — — —

Na ziemię zapadał już mrok, gdy zbliżyła się do werandy, skończywszy z powidłami. Na spotkanie jej podniósł się z miejsca i wydłużył cień, rozjaśniony małym ogniem papierosa.

— To pani, panno Danko? — rozległ się głos Andrzeja.

— A co pan tu robi zdala od gości? — zdziwiła się.

— A gdzie pani podziewa się do tego czasu?

— Smażyłam powidła...

— I nie spieszno pani było do nas?

— Och, proszę pana, obce twarze męczą mnie — to pozostałość z bolszewii, lęk przed nieznanymi ludźmi — wyznała mu szczerze.

— To tak, jak i mnie — potwierdził.

— Ale niech się pani przyzna, dlaczego taką zdziwioną minę zrobiła pani na mój widok w samochodzie?

— Zauważył pan?

— Uważała pani, że byłem w tym wesołym towarzystwie dysonansem?

— Pan jest przerażający z tą swoją przenikliwością — zirytowała się. — Wszystko pan zauważy, każdą myśl przeniknie.

— To wynika z mego fachu dyplomaty — objaśnił ją spokojnie.

— Źle się pan wyraził: był pan dla mnie dysonansem nie dlatego, że to było wesołe towarzystwo, ale że to było „to" towarzystwo.

Uścisnął jej rękę znacząco.

— Rozumiem panią.

Wstępowali na stopnie pustej werandy, na którą płynęły przez otwarte drzwi z salonu śmiechy i dźwięki rozmowy.

— Ależ, panno Ludko! — dobiegł ich śpiewny głos hrabiego.

Dalsze słowa ginęły w ogólnym gwarze.

— Czy bratowa moja nie wspominała pani, jak często panna Ludka spotyka się z hrabią? — zagadnął ją nagle.

Zakłuło ją w serce to pytanie.

...Zazdrosny o hrabiego.

Odpowiedziała chłodno i wyniośle, nie zatrzymując się:

— Nie jestem w tak zażyłych stosunkach z panią Ciemierzewską, bym ją pytała o sprawy panny Ludki.

Zaśmiał się dźwięcznie i młodo:

— Przemówiła przez panią prawdziwa kobiecość.

Żachnęła się urażona:

— Co pan przez to rozumie?

— Dużo i nic — odparł zagadkowo, wchodząc do salonu.

Danka poprzez stołowy pokój skierowała się do siebie, ażeby umyć ręce i poprawić włosy.

MIĘDZY LALKAMI...

Gdy weszła do salonu, panny Surzyckie przywitały ją chłodno z pewną niedbałą wyniosłością, dając jej od razu do zrozumienia, że one są panienkami ze dworu, a ona tylko płatną nauczycielką.

Hrabia ukłonił się jej obojętnie, zajęty rozmową ze starszą panią Surzycką, Władysławą, w skróceniu Lalką zwaną, chociaż rosła jej postać nie miała nic lalkowatego w sobie.

Za to młodym panom oczy zabłysły. — Co za ładna panna — przemknęło im przez głowę.

Starszy z nich, syn i dziedzic Szczarowa z folwarkami, z miejsca przysiadł się do niej.

— Gdzie się pani ukrywała, że ją dopiero dziś widzę? — zapytał ją.

Roześmiała się i w oczach jej zapaliły się ogniki, a poważna jej i nawet trochę surowa twarz ożywiła się; zbudziła się w niej zalotność wobec szczerego zachwytu przystojnego chłopca.

— Za duże ma pan powodzenie u pań, bałabym się o ciebie...

— I Jurkowi na powodzeniu nie zbywa — ujęła się za bratem starsza panna Surzycka.

— Nie wątpię, lecz jednocześnie wygląda na solidnego.

— Ma pani rację — odparł blondyn z przeciskiem — ma bardzo solidny i dochodowy majątek.

Pan Surzycki zmarszczył się niechętnie — widać było, że uraził go nietakt kuzyna.

Danka popatrzyła na niego z lekkim znużeniem powiek, poczem zrwóciła się do reszty towarzystwa, jakby ich wzywając na świadków:

— Sam pan najlepszy sobie dowód złożył, że na rycerza i obrońcę uciśnionej kobiecości nie nadaje się... prędzej za trubadura — dodała, by złagodzić ostrą odprawę.

— Zgadła pani — zawołały obydwie panny, nie zrozumiawszy nauczki — pan Julek ma bardzo ładny głos.

— No, to musi nam pan coś zaśpiewać po kolacji — zadecydowali państwo Ciemierzewscy.

MĘŻCZYŹNI SĄ ZMIENNI

Pan domu, eleganckim okrągłym ruchem głowy, podał ramię pannie Lalce, młodsza Misia zerknęła zalotnie na Andrzeja, ale ten zajęty rozmową z hrabiną, nie zauważył tego. Poprzestała więc na panu Julku. Pani domu była już w jadalni, robiąc przegląd stołu i nakrycia.

— Posadzę panią koło hrabiego — szepnął do panny Lalki uważający gospodarz.

Panna spłonęła rumieńcem zadowolenia. Przy kolacji hrabia siedział obok starszej panny, panna Misia miała przy sobie Andrzeja, a z drugiej strony pana Ciemierzewskiego.

Pan Surzycki znalazł się obok pani domu, Julek przy Dance, bawiąc ją cały czas opowiadaniem o zagranicy, skąd wrócił przed paru tygodniami, o ostatnich sukcesach — Ordonówny i Halamek...

Słuchała go z uprzejmym zainteresowaniem, obserwując mimowoli Andrzeja, jak uśmiechał się do panny Misi, patrząc na nią z takim wyrazem oczu, jakby ona jedna tylko istniała dla niego.

Nie znała go z tej strony i to ją zaskoczyło.

Był zawsze ugrzeczniony i uprzejmy — czy to w stosunku do niej czy też dla panny Ludki — ale trzymał się na odległość i rezerwą; obecne jego rozbawienie, pełne jakiejś natarczywej przymilności, zdumiało ją i rozgoryczyło.

...I on jak inni! Mężczyzna — pomyślała pogardliwie — kocha się niby w Ludce, jest o nią zazdrosny, gniewa go jej zajęcie się hrabią, a sam... co kobieta, to nieprzyjaciel. Z równym powodzeniem kwitł flirt hrabiego z panną Ludką.

Umawiali się na nową wycieczkę samochodem do Praszki.

— Wolałbym tylko z panią samą — dobiegł ją szept hrabiego. Z szeptem tym wionęło ku Dance wspomnienie Bolszewii i jej upodlenia. Takim nieraz szeptem w chwilach podniecenia przemawiał do niej Pietrow.

Spojrzała na niego.

Zajęty był panną Lalką, nie patrzył na nią. Widziała tylko jego szramę od czoła do policzka, białą pręgą odżynającą się od oliwkowej cery, ciemne, krótko podstrzyżone wąsiki i pełne, zmysłowe usta.

...Nie — podobieństwa prawie żadnego... Nieuchwytne, rasowe, ogólnego typu rosyjskiego, słowiańsko-mongolskiego, podobieństwo, ale poza tym nic.

Tamten ciemny blondyn, o krzaczastych brwiach, piaskowych włosach, jasnej cerze i złotawym zaroście, o ruchach rubasznych — a ten wytworny pan, o oliwkowej cerze, cienkich, ładnie zarysowanych brwiach, o czarnym zaroście i oczach patrzących leniwie spod ciężkich opuszczonych trochę na oczy powiek — to dwa różne typy.

Uspokoiła się, zła sama na siebie na swą „głupotę".

...Zawsze ta sama ze mną historia — irytowała się dalej sama na siebie.

Pan Julek zauważywszy jej wzrok wpatrzony w rozflirtowaną parę, pouczył ją, przerywając opowiadanie jakiejś historii z kroniki skandalicznej stolicy:

— Niech się pani uczy od współczesnych panien łapać przyjemności, gdzie się da — teraz nie popłacają Galatee i westalki. Panna Misia to prawie, że już moja narzeczona, a słuchając jej rozmowy, nie przypuszczałaby pani tego...

— Po rozmowie, sądząc, nie, ale po jej spojrzeniach, rzucanych w naszą stronę tak. Usta mogą kłamać na zawołanie, oczy rzadko.

POWRÓT DO SIELANKI

Po kolacji, Danka wprost z jadalni wymknęła się do siebie.

Towarzystwo, które się tam zebrało, nie było jej towarzystwem, nie miała z nim nic wspólnego, ona, przez los wyklęta...

...Te dwie młode panny wypieszczone, wychuchane od dzieciństwa, zamożne, niezależne, obiecujące sobie tyle od życia... Ci młodzi ludzie, na pozór dobrze wychowani i uczciwi, a w głębi swej natury prawdopodobnie takie same zwierzaki jak i tamci mężczyźni, z którymi zetknęła się w Bolszewii, tylko ci tutejsi nosili maski i hamulce



W jednym z berlińskich teatrów rewiowych p oaukuje się z ogromnym powodzeniem zespół tych pięknych girls

— W Ciemierzewie — odparła przekornie — czekając na pana, jak uwięziona księżniczka na oswobodziciela - rycerza.

— A może to na mnie? — dopraszał się drugi młodzieniec, kuzyn panien Surzyckich.

Spojrzała na jego bladą, lecz zbyt już banalną twarz, na zarozumiałą minę, potem migawkowo spoczęła wzrokiem na skrzywionej niezadowolonej twarzy młodszej panny, zwanej Misią.

— Nie, nie nadaje się pan do tej roli, a przynajmniej dla mnie...

— Dlaczego? — zdziwił się dotknięty.

Panny zainteresowały się również. Panna Lalka przerwała flirt z hrabią. Misia upuściła na dywan nużone przez społeczeństwo i ustrój, a tamci je zdarli i odrzucili w błoto jako wymysł „obłudnego, zgniłego zachodu". Hrabia — aktor, który z równym powodzeniem mógłby grać rolę Andrzeja i Pietrowa...

...Andrzej — tu serce jej zadrgało lekko — Andrzej, którego miała za wyjątek, okazał się takim samym jak inni. Nie mogła mu darować dzisiejszego flirtu z Misią, z taką głupią gąską!

...To okropne — myślała, rozbierając się — że nawet najszlachetniejszy człowiek, największy bohater, czy geniusz, nie potrafi zabić w sobie wulgarnego zwierzęcia. Nie darmo przysłowie mówi, że „nikt nie jest bohaterem dla swojego lokaja".

Rozebrała się, położyła do łóżka i zabrała do czytania. Przyniosła sobie z biblioteki domowej „Ad astra" Orzeszkowej. Cudna pieśń miłości z oddali, tęsknoty i poświęcenia zajęła ją więcej, niż śpiew „pana Julka", który dochodził stłumionym echem do jej pokoiku.

— — — — — —

Nazajutrz sama śmiała się ze siebie i ze swojego rozdrażnienia. Cóż było złego we flircie tych panien? Nic. Była to tylko przyjemna towarzyska gra słów, były rakiety dowcipu i delikatny, subtelny „wywiad w terenie". Ani hrabia, ani Andrzej nie byli oficjalnie związani słowem z Ludką — nawet nie występowali jako zdecydowani kandydaci do małżeństwa z nią. I tu i tam były to wywiady, próby, badanie...

A nuż coś z tego będzie?

Nie miała się więc czym gorszyć, ani co potępiać, jeżeli państwo Ciemierzewscy patrzyli na to spokojnie, a nawet z pewnym pobłażliwym zadowoleniem, tylko jako na „ożywienie" swoich gości.

Spotkawszy Dankę w sieni, gdy wychodziła z dziewczynkami na spacer, pan domu gderał na nią:

— Dlaczego pani uciekła od nas? To nieładnie, panowie dopytywali się o panią, szczególnie Jurek — a to dobry i porządny chłopiec.

Uśmiechnęła się do tego ciężkiego trochę, ale zacnego człowieka, który jej okazywał braterską życzliwość, bez cienia erotyzmu lub chęci podobania się.

— Żałuję sama teraz trochę tego, ale wczoraj nie byłam usposobiona towarzysko.

— Musi się pani poprawić na przyszłość.

— Obiecuję — przyrzekła.

* * *

Ponieważ dzień był ładny i słoneczny, spytała pani Ciemierzewskiej, czy mogłaby iść z dziewczynkami do Ustronia.

— Ależ owszem — zgodziła się chętnie — niech pani powie dziewczynkom, by nawzajem zaprosiły Tuśkę do nas. Bardzo mi żal Cesi, że jej się tak nie powiodło w życiu. Serdecznie jej współczuję i chociaż rozumiem ją, jednak przykro mi, że tak uparcie odsuwa się od nas. Może za pośrednictwem dzieci zbliżymy się znowu?...

Panią Bogdzińską zastały na werandzie z Tuśką, przy przebieraniu borówek.

Dziewczynki dygnęły nieśmiało, nie wiedząc — jak nazywać tę obcą panią w fartuchu, ze spracowanymi rękoma. Słyszały od matki, że jest ich ciotką — ale przyzwyczajone były do ciotek strojnych, eleganckich, posługujących się służącymi, oszczędzających wydelikaconych rąk. A ta widziana tutaj pani odbiegła daleko od typu, do którego były przyzwyczajone...

Wybawiła ich z kłopotu sama pani. Obtarłszy ręce w fartuch, objęła je ramieniem i pocałowała w czoło.

— Bardzo się cieszę, że przyszłyście odwiedzić Tuśkę. Ona tak się czuje osamotniona, że wasza wizyta ją rozweseli.

Lody zostały przełamane.

Tuśka skwapliwie odsunęła się od nudnej roboty i wziąwszy je za ręce, poprowadziła do ogródka.

Mało co starsza od nich, robiła wrażenie rozwiniętego już podlotka.

Łzy tak częste matki, jej niedola i borykanie się z życiem, brak odpowiedniego jej wiekowi towarzystwa — wszystko to jakby ją postarzyło. Dojrzała przed czasem i nad swój wiek.

I teraz, gdy dziewczynki szły obok niej, nieśmiało oglądając się dokoła ukradkiem, z ciekawością, której nie potrafiły ukryć, ona, z miną uprzejmej pani domu, zwracała ich uwagę na ten lub inny malowniczy zakątek ogródka.

Pani Bogdzińska rozmawiała tymczasem z Danką, na jej prośbę nie przerywając sobie roboty.

Mówiła jej o uprzejmości hrabiego, który przez sekretarza zaproponował jej przejażdżkę samochodem na spacer do Kłobucka, z której skorzystała, by zrobić Tuśce przyjemność.

— Moskal, a taki przyjemny...

— Starał się zjednać sobie okolicę — zauważyła Danka.

— Możliwe, ale mnie ujęło to bardzo, że nawet taką ubogą i nic nie znaczącą kolonistkę kokietuje.

— A jak się pani podoba pan Staniszewski? — spytała Danka, przebierając palcami w jagódkach.

— Wie pani, niebardzo, ma jakieś narzucające się obejście. Przyjmuję go, bo stara się o nauczycielkę ludową z Ciemierzewa, która uczy i Tuśkę. Młode to jeszcze i niedoważone stworzenie. Niepokoję się trochę, czy aby nie myśli jej tylko bałamucić... Podobno jest on w łaskach u hrabiego i ma zostać administratorem majątku, bo hrabia wybiera się po Bożym Narodzeniu na kilka miesięcy za granicę...

Danka przypomniała sobie Ludkę. — Jak ona przyjmie tę wiadomość! — pomyślała sobie.

NAUCZYCIELSKI CHLEB

Dziewczynki zaprzyjaźniły się ze sobą od razu.

— Przyjdziesz do nas niedługo? — zapraszały, żegnając Tuśkę.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

53)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Pomyślała sobie, że to byłby dobry figiel, gdyby się pozwoliła zaślubić z Ruthartem. Ale przyszła do przekonania, że to gra niebezpieczna.

Pomału ubierała się, a od czasu do czasu śmiała się do siebie.

Pani Gebeuer była dla niej tego dnia nieznośnie uprzejma i serdecznie dopytywała się o to, jak spała, czy ją głowa nie boli itd.

Kawa naturalnie była taka sama jak wszystkie inne uczty pani Gebeuer. Gorąca modlitwa a słaba kawa, obfite frazesy, a skąpa przekąska.

Po kawie zaproponowała pani Gebauer, żeby pójść do kościoła, czemu Marynia grzecznie, ale stanowczo się sprzeciwiła.

— Wyjdę do miasta — rzekła — trochę oglądnąć.

— Ale niech się pani nie zmęczy zanadto — prosiła pani Gebeuer — mój brat, który dziś rano już był tutaj, żeby się dowiedzieć o zdrowie pani, liczy z całą pewnością na to, że pani nam nie odmówi przyjemności, zrobienia wspólnej wycieczki po południu.

— Ależ z przyjemnością — odpowiedziała Marynia, wstrzymując się od śmiechu.

Na ulicy gwarno, dużo było przechodniów w świątecznych strojach, ale sklepy były pozamykane.

Tylnym wchodem weszła Marynia do jakiejś cukierni i kazała sobie dać czekolady, bulionu i pasztecików, potem tortu i kremu waniliowego.

Tak pokrzepiona mogła się odważyć siąść znowu w południe do stołu pani Gebeuerowej, która brakiem apetytu lokatorki była wielce zdumiona, zaś w duchu uradowana.

Ruthart zjawił się rzeczywiście z ogromnym bukietem i zapasem wyuczonych komplementów.

— Pozwoli pani złożyć sobie u nóg te skromne dzieci flory — rzekł z patosem.

Marynia nie wiedziała dobrze, co to znaczy flora, ale kwiaty wzięła z gracją i jedną różę wpięła w dziurkę żakietu.

Było to pierwszy raz w życiu, że jej ktoś ofiarował róże w dowód miłości.

— Dokąd więc idziemy? — spytała pani Gebauer.

— O! mam tajne plany !— odpowiedział tajemniczo Ruthart.

Podał ramię Maryni i sprowadził ją na dół.

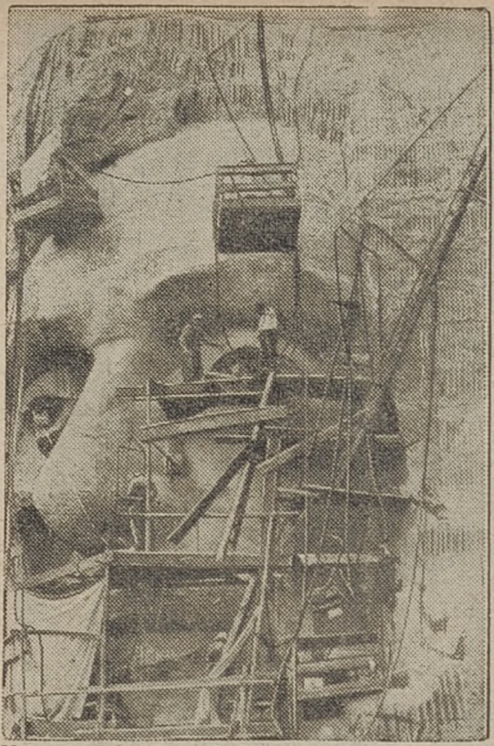
Wynajętym powozem pojechali do ogrodu zoologicznego i tam przy dźwiękach muzyki mieli się napić kawy, a potem zwiedzać miasto.

Po drodze Ruthart bawił ją, usiłując błyszczeć sprytem i emanować dobrocią serca. Marynia odpowiadała lakonicznie.

Nie miała ochoty spacerować po ogrodzie. Poszli więc od razu do sali, gdzie licznie zebrana publiczność przysłuchiwała się dźwiękom muzyki.

Ledwie zaczęli pić kawę, gdy pani Gebauer zbladła i pociągnęła brata za rękaw.

— Jadwiga! — szepnęła — idzie prosto do nas.



W Ameryce Północnej w skalistych górach południowej Dakoty rzeźbiona jest w granicie (na zdjęciu) olbrzymia podobizna jednego z prezydentów Stanów Zjednoczonych, Lincolna

— Nic nie szkodzi — odpowiedział, siląc się na spokój — nie bądź głupia. — Panna Schneider była zawsze twoją dobrą przyjaciółką, więc teraz pewnie zechce się dowiedzieć, jak ci się powodzi.

Marynia odgadła od razu — co się święci — i z zajęciem patrzyła na zbliżającą się niebrzydką damę, która z wyciągniętymi rękoma podeszła do pani Gebauer.

— Kochana pani sekretarzowo! — rzekła serdecznie — jakże się cieszę, że tu panią spotykam! Co słychać!? A, i pan Ruthart! Ach, to przecie wspaniale, żeśmy się tu tak przypadkowo spotkali!

Cieszyła się tak szczerze, że nie zauważyła nawet kwaśnych min rodzeństwa.

— Proszę mnie z łaski swojej przedstawić tej pani — prosiła, nic nie przeczuwając.

— Panna Schneider, panna Riedel, moja droga pupilka — przedstawiła z patosem pani Gebauer i chętnie byłaby coś wspomniała o tych stu tysiącach, gdyby to było wypadało.

— Musi się pani czuć bardzo dobrze u pani sekretarzowej? — spytała Jadwiga siadając przy nich — a jaka to ładna róża!

— To od pana Rutharta — odrzekła Marynia, patrząc na niego ze znaczącym wzrokiem.

— Tak!? — zdziwiła się Jadwiga, jakby zasmucona — pan Ruthart jest bardzo elegancki.

Walczyła z sobą, by stłumić nieprzyjemne uczucie, jakie nią owładnęło.

— Jutro bal resursy — rzekła po chwili — według życzenia pana, panie Ruthart, zatrzymałam dla pana kotyliona i dwa walce.

— Nie przypominam sobie — wyjąkał zakłopotany Ruthart — żebym panią angażował do tych tańców — ja — ja wcale nie miałem zamiaru iść na ten bal.

Jadwiga Schneider zbladła jak trup, łzy zaczęły jej się cisnąć do oczu.

Ale po chwili opanowała się i dumnym wzrokiem spojrzała na chwiejnego adoratora.

— Pan ma słuszność, panie Ruthart — rzekła chłodno — pomyliłam się. To kto inny zaangażował mnie do tych tańców. Mam wszystkie tańce zaangażowane naprzód, tak, że o omyłkę nie trudno.

To rzekłszy odwróciła się dumnie do niego i, powiedziawszy kilka słów grzecznych paniom, odeszła.

Marynia patrzyła na dno swej filiżanki, aby się nie zdradzić z ironicznym uśmiechem.

— Ci się już nie pogodzą — pomyślała. — Ten osioł skompromitował się śmiertelnie dla miłości moich stu tysięcy. Dobrze mu tak!

Ruthart siedział, nic nie mówiąc.

Ale siostra jego zaczęła kłamać bezczelnie.

— Ona jest ciekawa, ta Jadwiga! Bała się, żeby nie pietruszkowała, i chciała ci wmówić, żeś ją zaangażował!

— I ja jej nie pojmuję — mruknął Ruthart — musiała się pomylić. Ale chodźmy stąd, bo tu bardzo gorąco.

Wyszli z sali omijając dużym łukiem stół, przy którym w jakimś towarzystwie siedziała Jadwiga.

Kiedy znowu siedzieli w doróżce, rzekł Ruthart, siląc się na wesołość.

— No, teraz pora, żebym wyruszył z moją niespodzianką. Kupiłem bilety do teatru. Panie chyba nic nie mają przeciwko temu?

— Ach, jaka grzeczność z twej strony! — zachwycała się pani Gebauer — prawda, panno Riedel?

— Tak jest! Jestem zachwycona! — odpowiedziała Marynia głosem, jakby gniewnym.

Gdyby nie to, że było ciemno, byliby się towarzysze jej zdziwili, taki wyraz zniecierpliwienia i złości malował się jej na twarzy.

Gdy doróżka zatrzymała się przed teatrem, a Ruthart chciał Maryni pomóc wysiąść, rzekła:

— Widziałam tu w pobliżu sklep rękawicznika, chciałabym sobie kupić nowe jasne rękawiczki.

— Ależ po co, na co — zawołali równocześnie Gebauerowa i Ruthart — to niepotrzebne wcale, pani i tak jest bardzo elegancka!

— Nie! nie! — uparła się Marynia — nie mogę państwu robić wstydu. Zlałam rękawiczki kawą, poplamione nie mogę...

Mówiła tak stanowczo, że postawiła na swoim, ale nie mogła nie pozwolić na to, żeby Ruthart ją odprowadził.

Gebauerowa ze swoim biletem poszła do wnętrza gmachu teatralnego ,gdzie miała czekać na nich, oni zaś powędrowali do rękawicznika.

Wtem zobaczyła Marynia w miejscu więcej oświetlonym jakąś damę i krzyknęła z radości.

— Czy być może? — zawołała — hrabina...? Zbliżyła się do tej damy i witając się z nią, dała jej coś do zrozumienia mrugnięciem oczu.

— To ty, Maryniu!? — zdziwiła się teraz hrabina i zaczęły się pytania krzyżować, jak zwykle przy powitaniu, przy czym Marynia kilkakrotnie niespostrzeżenie dawała jakieś znaki hrabinie.



Onegdaj Berlin gościł księstwo Windsor. Na zdjęciu widzimy księcia Windsor z małżonką na chwilę przed odjazdem pociągu

Ruthart zażenowany i olśniony stał na boku dumny z tego, że jego przyszła żona nawet z hrabiną jest per ty.

— Czy mogę panią prosić, żeby mnie przedstawić tej pani? — rzekł nieśmiało do Maryni.

— Ach, prawda! — zawołała Marynia z niedbałą dystynkcją — pan Ruthart — hrabina... Dornbruch — przedstawiła, zawahawszy się jednak na małą chwileczkę, zanim wypowiedziała nazwisko hrabiny.

Ruthart był mocno onieśmielony dystynkcją damy.

— Dokąd idziesz? — zapytała hrabina.

— Ach, do teatru z tym panem — rzekła Marynia kapryśnie i znowu mrugnęła na hrabinę.

— A jabym tak z tobą chciała pomówić! Może pójdziesz ze mną do mego hotelu, prosiła hrabina, która zrozumiała, co znaczą te znaki.

— Chętniebym z tobą poszła, mamy z sobą tyle do pomówienia, tak dawnośmy się nie widziały! — odpowiedziała Marynia — ale czy pan Ruthart nie obrazi się, jeżeli go poproszę, żeby sam wrócił do teatru? Nie, pan jesteś zanadto rycerski na to, by mi odmówić przyjemności pomówienia z dawno niewidzianą przyjaciółką.

Zaambarasowany Ruthart odpowiedział coś, sam dobrze nie wiedząc co, i ani się spostrzegł — jak zasypany grzecznymi słowami Maryni i zmiażdżony dystyngowanym ukłonem hrabiny, został sam na ulicy.

Zły był na siebie i na hrabinę, że go nie zaszczyciła także zaprosinami do siebie.

Tymczasem hrabina oddaliwszy się z Marynią na bezpieczną odległość od Rutharta, zapytała:

— Dlaczegoś ty tak koniecznie chciała pozbyć się tego kibica? Czyś go już całkiem oskubała?

— Nie było na nim co skubać — odpowiedziała Marynia pogardliwie — fałszywe hińskie srebro! Nie, hrabino, przeciwnie? Skusiło mnie, żeby prowadzić uczciwe, porządne życie. Dwa dni wytrzymałam. Dłużej już nie mogę. Dokąd pójdziemy, hrabino?

— Właśnie ja wyszłam — za interesami — odparła hrabina — ale przyjaciółce należy się pierwszeństwo. Straszną mam frajdę, żem tu w tej nudnej dziurze spotkała wiedeńskie dziecko. Dokąd, pytasz? ot, pójdziemy gdzielowiek, gdzie dużo gwaru, muzyki, ludzi.

Była to znana złodziejka wiedeńska, którą Marynia przezwała — hrabiną — dla jej dumnego występowania. Umiała sobie — zadać szyku — i wykręcić się tym sposobem nieraz prześladowaniu policji wiedeńskiej. Widocznie jednak nabroiła tam już tyle, że musiała uciekać.

Jadąc dorożką do jakiejś porządnej winiarni, opowiadały sobie przyjaciółki wzajem swoje przygody, przy czym jednak Marynia zamilczała zupełnie o Józefie.

Zanim wysiadła z dorożki, zdjęła perukę i wyrzuciła ją potem w krzaki na plantacjach.

W winiarni wśród gęstego dymu tytoniowego uwijały się przy dźwiękach muzyki tańczące pary. Marynia na ten widok uczuła się w swoim żywiole. Chwyciła w pół — hrabinę — i puściła się z nią szalonego walca, tak, że zwróciła na siebie uwagę całego niezbyt zresztą dystyngowanego towarzystwa.

Obie znalazły sobie towarzyszów do zabawy — zabawa szeroka, skończyła się bójką. Z tej przyczyny — gości wyrzucono z winiarni, a między tymi, których wyrzucono, była także Marynia i — hrabina. — Mimo to twierdziły i to szczerze, że się bawiły bardzo dobrze.

Ruthart z Gebauerową przed końcem przedstawienia wyszli z teatru.

Ruthart odprowadził siostrę do domu, gdyż chciał jeszcze pomówić z Marynią. Zdziwił się bardzo, ze jej jeszcze nie było w domu i postanowił czekać na nią.

Minęła północ, ba, świtać zaczęło, a panny Riedel jak nie ma, tak nie ma. Zaniepokojona pani sekretarzowa wysłała brata na poszukiwania po mieście. Ruthart zgłosił się na policji, ale niczego się nie dowiedział. Wreszcie tknięty przeczuciem udał się do adwokata, którego nazwisko wymieniła Marynia i dowiedział się, że ani o pannie Riedel, ani o stutysięcznym spadku nikt tu nie słyszał. To samo powiedzieli także wszyscy inni adwokaci w mieście.

Widząc, że jest oszukany, robił gorzkie wyrzuty siostrze, że to przez nią popsuł sobie sprawę z Jadwigą Schneider.

Pogniewał się z nią śmiertelnie, ale w głębi zgryzionego serca wyrzucał sam sobie, że jest taki głupi, że tą głupotą pozbawił się nie tylko domniemanych stu tysięcy, na które już miał niezły apetyt, ale i widoków na miłe i serdeczne współżycie z nieobojętną mu w gruncie rzeczy panną Jadwigą.

ROZDZIAŁ CCVI.

Można się przeliczyć!

Ilona była wściekła, że cały jej majątek dostał się w inne ręce.

Pogniewawszy się z Alojzym, szła nocą do Königswalden i po drodze myślała nad tym, jakby to wyszukać tego kłusownika, któremu Alojzy dał wór z fasolą.

Układając plan, zaszła do Königswalden. Wieczór był późny, ludzie tam już spali. Nie spodziewała się uprzejmej i wyczerpującej odpowiedzi na wypadek, gdyby umyślnie kogoś zbudziła ze snu, aby się wypytać.

Postanowiła więc zaczekać z tym do rana. A że nie chciało jej się wracać do Felseg, ani do opuszczonej budy cygańskiej, więc w pierwszej chacie, gdzie była drabina na podwórzu, wylazła na strych, i bez skrupułu położyła się spać.

Tymczasem kłusownika przywitał w domu płacz dzieci.

— Tato chleba, tato chleba! — wołała dziewczynka trzyletnia, a za nią dwuletni chłopczyk.

On zdjął pakunek z pleców i złożywszy na ziemię zapalił trzaskę smolną, którą przymocował na haku w ścianie.

Przy tym marnym oświetleniu uwydatniła się cała nędza mieszkająca w tej izbie.

Brud, kurz i nieporządek, graty stare, połamane zastępowały meble. Na łóżku leżała żona jego, kobieta, na której twarzy odbijała się choroba i niezadowolenie.

Kłusownik zdjął nakrywkę z koszyka i rozdał jabłka krzyczącym dzieciom.

— Zgłodniałyście przez cały dzień — mówił czule — macie tu biedne ślimaczki.

— Zwariował chłopisko — odezwała się z łóżka żona — głód w chałupie, a on zamiast chleba przynosi jakieś zgniłe jabłka.

— Mam i chleb — uspokoił ją łagodnie Ksawer — i cały wór fasoli.

— Co nam po fasoli bez omasty? — mówiła chora kobieta — to tak jak dla bydła! My też nie żyjemy inaczej jak bydło!

— Mam dwa guldeny — pocieszał Ksawer — kupię smalcu, chleba, kawy — a tej fasoli starczy nam na długo!

— Boże miłosierny! — jęknęła Weronika — jak ty mogłeś przynosić fasolę do

domu, kiedy wiesz, że Metnerowi zginęła fasola? Zaraz powiedzą, że to my im ukradli, bo jak co złego, to nie powiedzą na bogatego, tylko na biednego.

— Nie bój się — zaprzeczył cierpliwie Ksawer — przecie każdej chwili mogę wziąć na świadka Alojzego, żem tę fasolę dostał od niego za tego kozła, com zastrzelił.

— O, ja nieszczęśliwa! — lamentowała Weronika — czy ty jesteś całkiem głupi i nie wiesz, że tego także nie można mówić!? Przecież za to, żeś kozła zastrzelił pójdziesz do kryminału! A wtedy mnie nic nie pozostanie, jak tylko dzieci wrzucić do wody i sobie zrobić koniec!

— Cicho bądź, do diabła! — wrzasnął Ksawer, bo mu cierpliwość już się wyczerpała — pocóż u licha i skąd ludzie muszą zaraz wiedzieć, że my mamy cały wór fasoli? Ty byś tylko wciąż narzekała. Nic już nie gadaj, bo diabli człowieka wziąć mogą, gdy tego słucha!

Weronika widząc, że mąż jest już zły, zaczęła z innej miarki.

— Mój złoty — rzekła płaczliwym głosem — masz tam trochę pieniędzy, idź kup coś uczciwego do zjedzenia.

— Pewnie, że wam nie będę żałował — odpowiedział Ksawer — tylko trochę pieniędzy muszę sobie zostawić, żebym miał za co kupić znowu.

— A strzelbę gdzieś zostawił?

— W pniu tej starej wierzby, schowana dobrze — odrzekł Ksawer i poszedł do karczmy.

Kupił tam kawy, smalcu i cukru i wróciwszy do domu sporządził ucztę, jakiej dawno nie widziano w jej chacie.

. . . .

. . . .

Nad ranem chytra Cyganka zeszła ze strychu i zaszła do chaty jednej wieśniaczki.

— Dzień dobry, gospodyni — rzekła, przymilając się — co słychać? Wiecie, wczoraj sprzeczałam się z jedną, że wasza krewna jednak wyszła za obcego, prawda? — rozpoczęła przebiegła dziewczyna rozmowę.

— Z mojej krwi żadna nie poślubiła włóczęgi — odpowiedziała z dumą chłopka. — U nas nie ma drugiej takiej głupiej, jak ta Weronika. Jak ten Ksawer przyszedł do wsi i do niej się zalecał, to my jej wszyscy odradzali, żeby nie brała obcego. Ona nie słuchała i co się pokazało? Że ten nicpoń nic nie umie, tylko strzelać i całymi dniami siedzieć na sadzawce. W domu bieda, dwoje dzieci już jest, a trzecie w drodze.

Cyganka z radości mało nie krzyknęła. Od razu dowiedziała się, czego chciała. Więc Ksawer był tym kłusownikiem!

— Gdzie on mieszka ten Ksawer? — zapytała obojętnie.

Gadatliwa chłopka opisała jej dokładnie obejście kłusownika. Cyganka zapamiętała to dobrze, potem poprosiła:

— Nie dalibyście mi co zjeść? Taka jestem głodna! Ja wam za to powiem błogosławieństwo od ognia, także, że na cały rok będzie wam chałupa bezpieczna od pożaru.

Rzeczywiście była bardzo głodna, bo poprzedniego dnia mało co jadła.

Zababonna chłopka była pewna, że zrobi dobry interes.

— Czemu nie? — odpowiedziała chętnie — ja jestem dobra chrześcijanka i wiem



W sercu Paryża na Montmartre znajduje się winnica, gdzie podczas tegorocznego winobrania wziął udział paryski świat artystyczny, który urządził popisowy występ, zakończony wesołą sprzedażą świeżo zerwanych winogron

że błogosławieństwo może uchronić człowieka od złego. Ot, żeby leśniczy był sobie przynajmniej podkowę przybił na progu, nie byłoby go spotkało takie nieszczęście.

— Ej, wiecie, że mówią o tym różnie — wtrąciła chytrze Cyganka, zajadając smacznie — mówią, że on chętnie widział ten pożar, że nic nie miał tylko długi, a wysoko był zaasekurowany! Ale mu teraz asekuracja nie wierzy i nie chce wypłacić.

— O, to już nieprawda, żeby on miał długi — zawołała chłopka oburzona. — Wszystko co brał u ludzi, to za gotowe pieniądze. To bardzo porządni ludzie!

— Cicha woda brzegi rwie — przekonywała Ilona — jak mówią ludzie. Gdyby oni byli tacy bardzo porządni, nie byliby córce pozwalali romansować z młodym hrabią. Przecież mogli wiedzieć, że on się z nią nie ożeni.

— Kto wie? — Jakby był żył...

Zjadłszy śniadanie stanęła Cyganka twarzą na wschód i w niezrozumiałym języku zaczęła mówić zaklęcia przeciw pożarom. Ręce miała w krzyż złożone na piersi.

Potem wzięła garść soli i rzuciła poza siebie.

— Teraz — rzekła — cały rok możecie spać spokojnie. Pożar nie chwyci się waszej chaty. Tanio dostaliście to, za jedno śniadanie. To dla was tylko tak tanio, kogo innego byłoby to o wiele więcej kosztowało.

Pożegnała się i według wskazówek danych jej przez chłopkę, poszukała chatę Ksawera.

Weronika nie leżała w łóżku, tylko siedziała na krześle, ale wyglądała bardzo chora.

Iloną weszła i pozdrowiła ją uprzejmie.

— Czy można się zagrzać i odpocząć? — zapytała — bo na drodze zimno, a ja zdaleka.

Rozsiadła się wygodnie.

— Coś wam zdrowie nie dopisuje — rozpoczęła rozmowę, przyczem bacznie rozglądała się po chałupie.

Zobaczyła koszyk, który Alojzy podarował Ksawerowi i to dało jej pewność, że się już stanowczo nie myli co do miejsca, gdzie były jej skarby.

— Oj, co nie, to nie! — skarżyła się Weronika — bardzo jestem słaba.

— Wiecie, coby wam dobrze zrobiło? — mówiła chytrze Cyganka — powinniście pić dużo wina.

Weronika zaśmiała się gorzko.

— Wino nie dla mnie, a dla bogaczy — rzekła — ja na to nie mam pieniędzy.

— Ależ to nie takie drogie! — przekonywała Cyganka — za pięć szóstek można teraz już dostać litr wina.

— Kiedy ja nie mam ani centa — odpowiedziała ponuro Weronika.

Mówiła z przygnębieniem tak szczerym że nie można było wątpić.

— Widocznie nie odkryli jeszcze pieniędzy we worku — pomyślała Ilona.

— O pięć szóstek nie trudno — rzekła głośno — ot, sprzedać coś i już jest.

— Ciekawam, co będę sprzedawać, kiedy sama jestem goła, — odparła sucho Weronika.

— Ej, to się tylko tak mówi! — napierała Ilona — ot, kura, czy jaja, słonina, czy konopie na sprzedaż, zawsze się jeszcze coś znajdzie.

— Kiedy nie ma — odparła Weronika.

— To może fasola albo groch? — zapytała Ilona.

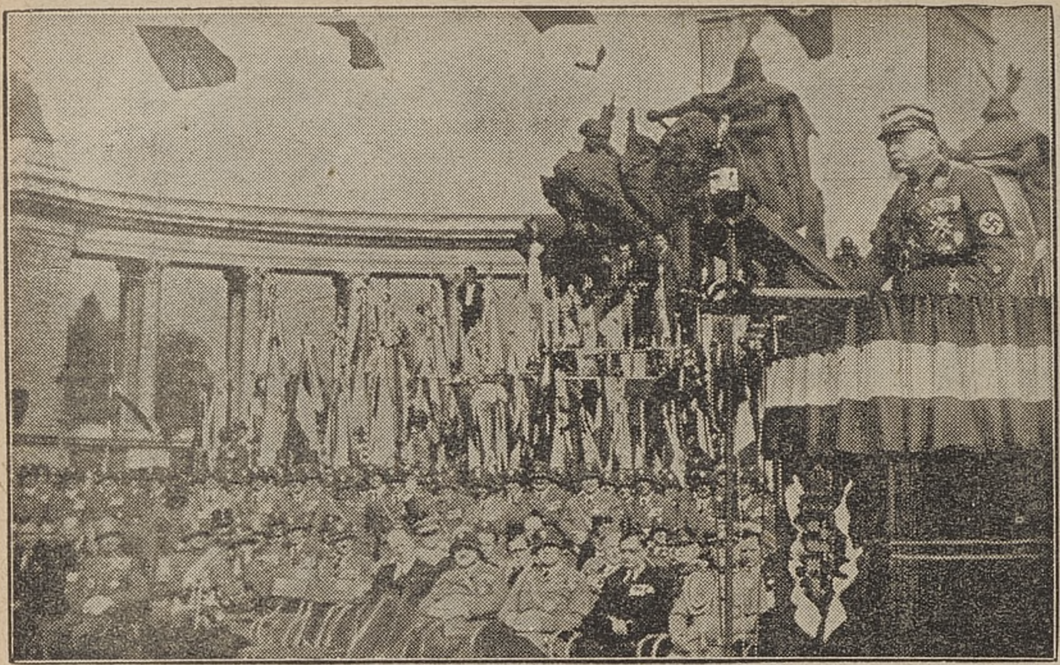
— Skąd u nas fasola? — rzuciła się nagle flegmatyczna dotąd Weronika, tak gwałtownie, że chytra Cyganka od razu poznała, że trafiła dobrze.

Widziała jednak, że po dobremu od niej tej fasoli nie wydostanie i już miała zamiar rzucić się na nią i wymusić wydanie worka, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Ksawery.

Musiała więc inaczej wziąć się do rzeczy.

— Chciałam tu z waszą kobietą ubić interes — rzekła do niego — fasolę chciałam kupić.

— U nas nie ma żadnej fasoli — odparł szorstko Ksawer — po fasolę możesz iść



W zjeździe kombatantów węgierskich w Budapeszcie wziął również udział delegat Niemiec (na trybunie)

do tego, co okradł Metnera. My jesteśmy biedni, ale uczciwi ludzie.

— Bo to u nas — próbowała jeszcze Ilona — jak to u Cyganów, różne są zwyczaje. Jutro u nas wielkie święto cygańskie i przepis mówi, że do obozu przynieść musi dziewica wór fasoli. Musi go kupić od dziewczynki niżej lat 7-miu i zapłacić za to 12 srebra, niby dlatego, że 12-tu było apostołów. Ja chcę u was kupić wór fasoli i dwanaście reńskich wam za to zapłacić. Świetny interes!

— To widać, że nie mamy szczęścia, kiedy nie możemy zrobić takiego dobrego interesu — odparł głucho Ksawer — bo skąd wam weźmiemy fasolę, jak nie ma!

Ale Weronice żal się zrobiło dobrego interesu i już chciała otworzyć usta, by coś powiedzieć.

Powstrzymał ją surowy wzrok męża.

Chciała się jednak jak najprędzej pozbyć z chaty Cyganki, żeby Ksawerowi przynajmniej zrobić awanturę, że mógł za marny wór fasoli wziąć aż 12 reńskich i nie chciał.

Obawiała się też, że piękna czarnooka Ilona zwróci na siebie uwagę Ksawera i zazdrość się w niej obudziła.

Tymczasem Ilona ani myślała się zabierać.

— Szkoda — rzekła — dałabym wam chętnie zarobić. No, ale jak nie, to nie. To już chyba pójdę.

— Idź ,albo zostań, wszystko mi jedno! — odrzekł Ksawer.

— Na gościny nie mamy miejsca, ani zapasów! — z zawiścią ozwała się Weronika — sami nie mamy co do gęby włożyć!

— Ależ jabym nie żądała za darmo! — oburzyła się Ilona — pieniądze chwała Bogu mam!

Wyjęła z kieszeni garść guldenów i potrząsnęła nimi przed ich oczyma.

— Schowaj sobie swoje pieniądze i wynoś się z nimi! — wrzasnął Ksawer zirytowany. — Jak już Cygan wyrusza z pieniędzmi, to musi być w tym jakieś łajdactwo.

— Tak?! — zawołała Ilona, a oczy jej zabłysły mściwą wściekłością — poczekajcie! Ja wam pokażę, wy żebraki, złodzieje!

Wybiegła z chaty, ale zatrzymała się na podwórku i ukryta za płotem, śledziła bacznie, co się dzieje.

Trzeba by się przypatrzeć tej fasoli — odezwał się Ksawer po jej wyjściu do żony. — Coś w tym musi być, że ona nam za nią dawała 12 reńskich.

Wyszedł na podwórze, wyciągnął wór z ukrycia i wrócił z nim do chaty.

Ilona, która teraz podkradła się pod okno i zaglądała, widziała, jak oni wysypali fasolę na prześcieradło rozłożone na ziemi i jak w niej znaleźli jakąś paczkę, starannie owiniętą.

— A co, nie mówiłem! — zawołał z triumfującą miną Ksawer.

Był to plik banknotów.

Na ten widok rozegrała się między małżonkami czuła scena błogiej radości.

— Skończyła się nasza nędza, nasza bieda — szlochała Weronika, rzucając się na szyję mężowi.

Układali sobie, że z tym majątkiem wyjadą do wsi rodzinnej Ksawera i tam zakupią grunt.

Tymczasem Ilona naprożno czekała pod płotem w nadziei, że Ksawer znalazłszy pieniądze, pójdzie się upić do karczmy i że potem od pijanego łatwiej będzie wszystko wydostać, choćby go miała napaść, gdy nocą będzie wracał do domu.

Kilka godzin czekała naprożno.

Widząc, że to na nic, pobiegła co tchu napowrót do Felseg.

Alojzy jednak nie chciał patrzeć na nią.

— Precz ode mnie, ty podpalaczko! — zawołał. — Jak młoda dziewczyna mogła upaść tak nisko!

Dopiero, gdy mu przysięgła uroczyście, że ognia nie podłożyła, pozwolił ze sobą mówić i dał się nakłonić, żeby pójść z nią do Ksawera po pieniądze.

Chatę Ksawera zastali jednak już pustą.

Fakt, że drzwi były otwarte, dowodził, że pieniędzy tam nie było.

Rzeczywiście, na próżno przeszukała Ilona wszystkie kąty chaty, całe łóżko, skrzynię i wszystkie sprzęty, nigdzie ani centa.

Alojzy pocieszał ją, że oni jeszcze wrócą, bo Weronika jest w poważnym stanie i że nie może iść daleko w podróż.

Jednakże całą noc czekali na próżno w chacie kłusownika.

Ilona leżała na ziemi przez całą noc i lamentowała.

Kiedy słońce weszło, a Ksawery nie wracał i nie było już nadziei jego powrotu, wstała i zawołała strasznym głosem:

— Przeliczyłam się haniebnie! Ale ty mi za to zapłacisz, Alojzy!

ROZDZIAŁ CCVII

Nagły zgon

Zuzi i Molly powodziło się bardzo dobrze.

Mimo, że pani Kotskin używała całego swego wpływu, żeby one nie dostały roboty, miały tyle do czynienia, że zajęły u siebie jeszcze kilka praczek.

Zuzia naturalnie wobec tego, że była w tak poważnym stanie, dostawała roboty najlżejsze.

Pewnego razu w miasteczku był bal, na który miał pójść cały personel pralni.

Zuzia sama została w domu.

Zanim się położyła spać, wzięła koszyczek na rękę i poszła po jakieś zakupy.

Wlokła się powoli przez ulice, gdyż była już bardzo chora, gdy wtem pod latarnią zobaczyła przebiegającego obok siebie w szalonym pośpiechu człowieka.

Światło latarni padło na jego twarz — Zuzia poznała go.

Był to pierwszy jej kochanek, rzekomy hrabia Ferdynand.

— Ferdynand! — zawołała Zuzia, obracając się za nim.

Lecz on pędził dalej, jakby gnany furiami, ani się nie oglądając.

Po kilku krokach jednak potknął się o kamień i runął jak długi na ziemię.

Zuzia podbiegła ku niemu i pomogła mu wstać.

On zrazu jej nie poznał, gdyż była bardzo zmieniona i dopiero, gdy ona mu się przypomniała, poprosił ją żeby go ukryła.

— Gonią mnie! — rzekł dysząc — mam przy sobie jeszcze bardzo wiele pieniędzy. Jeżeli mnie uratujesz, dam ci połowę!

— Ależ Ferdziu! ty, ojciec mojego... zaczęła Zuzia, lecz on jej przerwał brutalnie.

— Przestań gadać teraz, tylko ukryj mnie co prędzej! — nalegał — bo oni tuż, tuż za mną.

Upadł był tak silnie, że nogę miał zdaje się złamaną.

To też Zuzia musiała go prawie nieść, a że sama była chora i bezsilna, więc poruszali się naprzód bardzo powoli.

Na szczęście, Zuzia nie była daleko od domu i zanim do uliczki wpadł tłum goniący Ferdynanda, ukryła go w swym mieszkaniu, w jednym z łóżek, które nakryła kapą.

Zamknęła drzwi na klucz i dygocąc, słuchała coraz bardziej zbliżających się krzyków.

Kilku szpiclów policyjnych, a za nimi tłum gawiedzi, gonił przestępcę przez ulice, a widząc, że znikł tu nagle, zaczęto przeszukiwać domy.

Pod kołdrą w łóżku zaścielonym leżał Ferdynand w śmiertelnej trwodze, a tłum już się dobijał do mieszkania.

— Może tu! — zawołał jakiś szpicel

— Tu nikogo nie ma, praczki poszły na bal — zaprzeczył gospodarz.

— Zuzia jest w domu! — odezwał się jakiś przemądry chłopak z sąsiedztwa — ona nie poszła na bal.

Ciąg dalszy na stronie 857.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

JESIEŃ NA WSI...

Jesień dżdżysta już nadeszła
i z drzew liście postrącała,
zżółkła zieleń...
jakby zmierzchem,
niebo w krąg się zachmurzyło...
Gdzieś zdaleka ciągną chmury —
ponad lasem zgasło słonko...
nie rozdzwoni się wśród pola
pieśń skowronka...
Pozostała w nas tęsknota,
wicher błądzi hen, po polach —
razem z wichrem zda się błądzi
chłopska dola i niedola...
W małej wiosce cichy wieczór,
żóraw skrzypi... biją dzwony...
po czym gaśnie wszystko w ciszy —
wioska w mgle srebrzystej tonie —
Radzą w izbach w długi wieczór —
jak polepszyć swoją dolę...
butne chłopy, parobczaki,
tęskniąc za swym szarym polem...
Długo czekać jeszcze będą
poprzez jesień, mroźną zimę...
aż nadejdzie dzień radosny...
— — dzień —
kochanej wiosny...!

Jan Feliks Płóciennik.

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Wesoła Ślązaczka". Jak mnie to ogromnie cieszy, Droga Pani, że stan psychiczny Pani uległ tak znacznej zmianie na lepsze. Proszę tylko nie sugerować sobie, że to jest chwilowe, że przejdzie, a dawny smutek wróci — nie, tak nie będzie i być nie powinno.

Zdjęcie z wesela śląskiego niestety nie nadaje się do umieszczenia w naszym piśmie — schowałam je do redakcyjnego albumu.

Za pozdrowienia dziękuję i wzajemnie ślę serdeczności!

A teraz umieszczam komunikaty:

„Halo! Zasyłam pozdrowienia dla „Banialuki", „Lusi Szczebiotki", z prośbą, aby do mnie napisały.

Dla „Zbłąkanej Gwiazdy" promienny uśmiech i cicha prośba, aby zechciała „skrobnąć" kilka słów, a podzielę się z nią moją wesołością.

Zwracam się zresztą do wszystkich Sympatyczek i Sympatyków „Krainy", aby do mnie napisali — odpowiedź będzie murowana.

Szczere pozdrowienia ze Śląska zasyłam wszystkim!

ZMIENIŁA ADRES

„Biała Uajali" — doniosła mi, że zmieniła miejsce pobytu od 1 września br. wobec czego adres łódzki traci na aktualności.

Jak się już nasza kochana siostrzyczka zadomowi w nowym miejscu, napisze nam długi list, a na razie pozdrawia wszystkich serdecznie.

Życzę Pani, „Biała Uajali" mnóstwa miłych chwil na owej kładce nad srebrną wstęgą rozszemranej rzeczki i proszę o jak najszybszą wiadomość stamtąd!!!

SZCZĘŚCIE SAMO PRZYJDZIE!

„Mała Konwalijka". Dziecko Drogie, czy czujesz się już trochę lepiej? Tak mi przykro stwierdzać stale, że nic się w Twoim życiu nie zmienia na lepsze. Boże Drogi! Żebyś już raz mogła mi donieść, iż czujesz się zupełnie, ale to zupełnie dobrze. Proszę opanuj trochę nerwy i jaśniej spojrzyj na wszystko, co Cię otacza, przecież wiecznie smucić się i sumować nie można. Nie można i nie wolno! Pamiętaj to, Droga Moja Dziewczynko.

Pokaż światu szczęśliwą, rozpromienioną twarz i także serce, a szczęście samo do Ciebie przyjdzie. Na pewno — tylko miej cierpliwość i nie desperuj.

Pozdrawiam Cię i całuję serdecznie.

„Halo! „Biała Uajali" — podaj, Kochana, swój adres Marucie. Pragnę do Ciebie napisać, a nie wiem, gdzie jesteś. Zaznaczam, że z S. wyjechałam. Pisz szybko, bo w Łodzi Cię nie ma, a chcę koniecznie z Tobą porozmawiać.

„Nitramie", jeżeli nie ma Pan mego adresu do R., to proszę mój fotos przesłać do p. Zofii — ona mi go odda.

„Czarny Hajduczku" — jesteś w P.? Ciesz się, to kochane miasto. Dziękuję serdecznie za piękne listy i Twoje dobre uśmiechy.

„Konwalio" — pozdrawiam i donoszę, że niedługo napiszę do Ciebie.

„Maruto" — chwile spędzone u Ciebie są mi drogie, nigdy ich nie zapomnę.

„Dziewczę z Kujaw" — życzę dużo szczęścia!

Pozdrowienia dla p. Lasoty i Janki z K., którą bardzo proszę o list. Adres da Wanda D.

„Dalię" bardzo przepraszam, że nie odpisałam, ale byłam ogromnie zajęta.

Pozdrowienia najserdeczniejsze dla całej „Krainy".



Niedawno odwiedził naszą redakcję „Heniek", którego oto widzimy na zdjęciu. Prawda, że poważnie i jakby przez lekką mgłę smutku patrzy przed siebie? Życzymy mu dużo, dużo dobrego i pozdrawiamy serdecznie!

DLA LUBIĄCYCH JAZDĘ NA ROWERZE

„Banialuka". Dziękuję Ci, Maleńka, za miły liścik — widzę z niego, że umiesz ocenić piękno natury, to jest takie ujmujące u młodych dziewcząt.

Rozumiem Cię, bo sama nieźle jeżdżę na rowerze, jakkolwiek rzadko korzystam z tego środka lokomocji.

A, Ty mały leniuszku! Na siostrę spychasz — trud korespondencji — czy to ładnie? No, nie mam wielkich żalów, bo rozumiem tę Twoją nową wielką pasję do jazdy rowerem.

Pozdrawiam Cię serdecznie i przechodzę do Twoich komunikatów:

„Halo! Dziewczynki!

Chciałabym korespondować z jakąś Siostrzyczką siedemnasto względnie osiemnastoletnią.

Przesyłam Wam dużo serdeczności i proszę napiszcie!

Miłe pozdrowienia dla wszystkich lubiących jazdę na rowerze, szczególnie dla „Orlicy".

ŻYCZĘ CI!

„Zbijokruk Poznański". Dziś dopiero odpowiadam na Twój list lipcowy, Droga Moja Dziewczynko — nie bierz mi tego proszę za złe. Nie mogłam wcześniej.

Żebyś wiedziała, z jakim wzruszeniem przeczytałam to wszystko, co mi napisałaś o sobie. Dzielny z Ciebie człowiek — inteligentny, zdolny i... wesoły. A to się rzadko zdarza u ludzi intelektu, aby oprócz mądrości mieli także radość dla siebie i swego otoczenia.

Rzeczywiście obdarzył Cię Bozia hojnie — winnaś mu być za to gorąco wdzięczna.

Napisz mi proszę, jak przedstawia się ta sprawa, o której mi pisałaś i czy dobrze Ci się żyje obecnie w Poznaniu.

Życzę Ci jeszcze więcej radości i zadowolenia oraz powodzenia w studiach!

„Halo! — „Bursztynowe Serduszko", czy wiesz, że ślę Ci moc całusów?

„Czarny Hajduczku" — dziękuję za pozdrowienia i wzajemnie ślę ich masami.

„Przedwiośnie" — ściskam Cię serdecznie i życzę dużo zadowolenia w „nowym" życiu, które Cię teraz czeka. Echa matury tak prędko nie przeminą — zobaczysz!

Skrobnij do mnie. Co zamierzasz robić?

„Zapomniana Syleno" — słyszałam dużo dobrego o Tobie i ślę Ci, Kochanie, wiele buziaków.

„Geroldzie" — moc promiennych uśmiechów. Całej „Krainie" wiele, wiele pozdrowień!

ŚLĘ POZDROWIENIA!!

„Stokrotka" pisze mi, że wakacje spędziła w cichym, malowniczym dworze na wsi i czuła się tak ogromnie szczęśliwą, ale że wszystko piękne kończy się szybko, więc i jej sielanka skończyła się powrotem do miasta, skąd przesyła całej „Krainie" masę pozdrowień i dobrych słów.

Ponadto prosi o umieszczenie kilku komunikatów.

„Dla „Jasnowłosej Cyry" zasyłam pozdrowienia serdeczne i dziękuję za pamięć!

„Ciemnooka Iruś" — dziękuję Ci za pozdrowienia i proszę coś do mnie napisać. Bardzo proszę!

„Daria" — list do Pani wyślę w najbliższych dniach, na razie pozdrawiam!

„Rudi 220 — 380" — niestety, proszę Pana, nie znam Pana i w Dziedzicach nie zamieszkuję. Pan się omylił, więc poznanie nasze jest niemożliwe. Ślę Panu pozdrowienia!

CZEKAM...

„Owambo". Zastanawiam się, co Pani teraz porabia, Droga „Owambo", bo że przestałaś wędrować na dalekie wycieczki — jestem prawie pewna. Ale chciałabym, abyś spędzała czas w taki sposób, że mogłabyś mu zawdzięczać umiejętność słania nam równie słonecznych uśmiechów, jak te w czasie odbywania długich i urozmaiconych wycieczek. To taka cudna rzecz — uśmiechy, nota bene promienne!

Czekam na nie, jak również na przyobiecany przedługi list.

Ponadto wyrażam w Twoim imieniu pozdrowienia, przeznaczone dla całej „Krainy" i umieszczam komunikat:

„Halo, halo!!! „Solidny Ślązaku", „Zagłobo — Wielkopolaninie", „Zrównoważony Jasiu", i „Aramisie" — jeżeli lubicie otrzymywać szczere i pogodne listy, proszę napiszcie do mnie, a nie pozostanę Wam dłużna. Ślę Wam szczery uścisk dłoni!

NIE MA PRZYJACIÓŁ

„Skośnooka Lola". Przyjmuję Panią do „Krainki", gdyż niezwykle ujęły mnie Jej proste, niewyszukane, a serdeczne słowa.

Wierszyki Pani oddałam do Teczki Wujka Janusza — nie wiem jaka wypadnie ocena.

Halo! „Krainiacy" — przedstawiam Wam nową siostrzyczkę. „Skośnooka Lola" jest miłą, sympatyczną dziewczynką, która pragnie zaprzyjaźnić się z Wami serdecznie. Nie ma ona szczerych przyjaciół a pragnie ich mieć, dlatego zwraca się do Was — zajmijcie się nią uprzejmie.

Pozdrawiam Panią i życzę miłej korespondencji!

POZDROWIENIA Z DROGI

„Marzenka". Z hotelu emigracyjnego z Gdyni przysyła nam „Marzenka" ostatnie przedodjazdowe pozdrowienia i prosi, aby pozdrowić specjalnie „Humorystkę", która znowu z kolei ma pozdrowić wszystkich wspólnych znajomych.

My jeszcze raz życzymy Jej najszczęśliwszej drogi i pomyślności na miejscu!!!

WRÓĆ DO MNIE

Posyłam w świat tęsknotę mą
I dziś i codzień rano,
Codzień wspominam cię ze łzą —
Wróć do mnie ukochany.
Serce moje pożera ból
I krwią się palą rany,
W duszy mam lęk, smutek i żal,
Czy wrócisz ukochany?
Myślę o tobie w każdą noc
Z miłością i rozpaczą,
Gdziekolwiek jesteś — czekam — wróć,
Nadzieją dni me znaczę.
Posyłam w świat szept kilku słów
Do ciebie ukochany,
Pragnę zobaczyć ciebie znów —
Wróć codzień przyzywany.

„Blanka".

„CHCĘ POZOSTAĆ SILNĄ I PRZETRWAĆ WSZYSTKIE BURZE ŻYCIA"...

„Wisia". Moja Ty Kochana i Miła! Los Twój zainteresował mnie bardzo żywo i napełnił smutnymi refleksjami. Wiem, co to ból, co zawód i beznadziejność życia, sama to kiedyś przechodziłam, a więc skłonna jestem zrobić wszystko, aby było Pani lżej i znośniej żyć. Zacznę od zamieszczenia apelu. Zapewnie, niejedna osoba, która przeczyta szczery list Pani, poczuje ochotę do zbliżenia się i do podania Pani przyjaznej dłoni. Nic bowiem tak nie łączy ludzi, jak właśnie wspólna dola, jak jednakowe przypadki losów i jednakowe smutne przeżycia. Wierząc w to, oddaję w ręce „Krainiaków" list zawiedzionej w swych marzeniach i nadziejach Istotki — „Wisi":

„Przez pewien czas byłam tylko cichą obserwatorką „Krainy", teraz jednak to mi nie wystarcza. Obecnie potrzebuję czegoś więcej! Żyję w osamotnieniu. W około mnie pustka, której tak strasznie lękam się. Jestem sama, wzgardzona, biedna i wyśmiana od przyjaciół, którzy za dobre odpłacili mi złym. Nawet ten, którego kochałam zabrał serce, zdradził i zostawił własnemu losowi.

I cóż mam teraz robić? Czy bezczynnie siedzieć z założonymi rękoma i bezmyślnym wzrokiem patrzeć w dal i wypatrywać tego, czego nie ma, nie będzie? A może rozpaczać?...

Nie! Chcę pozostać silną i przetrwać wszystkie burze życia!

Tylko, samej — smutno...

Chciałabym więc za pośrednictwem „Krainy" znaleźć jakąś bratnią duszę i nawiązać z nią korespondencję naprawdę interesującą i wartościową.

Cośkolwiek o mnie: W lecie mieszkam w Gdyni, a tylko częściowo w Tczewie. Mam lat 24.

Kilka słów dla „Jasieńki":

„Jasieńko", czy się przypadkiem nie znamy z kursu Ż. Sz. P. Z. w G...? Napisz do mnie, czy zgadłam!"

NIE NALEŻY ŻAŁOWAĆ

„Maryla spod Wągrowca". Miło było mi poznać Panią, chociaż tylko listownie. Myślę też, że „Krainiacy" z równą przyjemnością zawrą z Panią kontakt listowy. I wówczas będziesz mogła swoim weselem zarazić całą „Krainę". Lecz nie tylko weselem — umiesz przecież myśleć i mówić tak głęboko i poważnie. Tylko postaraj się, proszę, zapomnieć o tym incydencie pomaturalnym. Nazywam to litylko incydentem, gdyż w życiu osóbki, jak Ty, młodej i inteligentnej nie powinien ten mały zawód zbyt okazać się poważnym w skutki. Zapomnieć — zamknąć tamte małe drzwi, a otworzyć szerokie, wspaniałe podwoje prowadzące w świat ciekawy, mądry, piękny i szeroki.

Za młodaś, abyś już miała tracić, jak mówisz, sny tęczowe, wiarę w przyszłe jasne dni i abyś — broń Cię Bóg! — miała żałować, że zaistniały tamte wszystkie piękne chwile. Tego się nie żałuje — przeciwnie, chowa się je skrzętnie w najdalsze, najgłębsze kąciki duszy i serca, ba! owija się je dla konserwacji w przeźroczysty, miękki jedwab, czy jakiś inny ochronny staniol, aby nie skruszały, ani też zmarniały z biegiem czasu, lecz przeciwnie coraz nabierały wyrazu, lśnień i głębi i żeby później, gdy będziesz już stera na i stara — stały Ci się niezbędnym pokarmem, żeby przemieniły się w nową teraźniejszość — w życie teraźniejsze przeszłością — życie, które odmładza i cieszy.

Sama już chyba wiesz, że ludzie starzy raczej żyją przeszłością — a gdy ta przeszłość została kiedyś gniewem i mściwą niepamięcią zmazana, to co pozostaje takiej osobie? Sama teraźniejszość, która dla starców jest zawsze gnębiąca i smutna.

Przekonałam Cię, Mała Marylko? Jakby nie było — zaznaczam Ci, że zawsze możesz z równą bezpośrednią serdecznością i zaufaniem zwrócić się do mnie i wyskarżyć wszystkie swoje bóle i żale; wysłucham, przemyślę i postaram się posłać Ci słowa rzeczywistej otuchy.

Wzruszona jestem serdecznością i wręcz uczuciem, z jakim zwracasz się do mnie, lecz muszę trochę sprostować. Nie kończyłam gimnazjum w Gnieźnie i z Tobą, Moja Mała, nie chodziłam na śpiewy z ks. I. A w ogóle Gniezno znam tylko pobieżnie z dwu czy trzy dniowego pobytu, lecz to wszak nie potrzebuje przeszkodzić naszej przyjaźni! Lubię Cię już bardzo i niecierpliwie będę oczekiwała nowego listu.

„Eros" ma od Marylki pozdrowienia. Ponadto wszyscy „Krainiacy".



Całą „Krainę" pozdrawia serdecznie kochająca ją „Uśmiechnięta Wandulka".

ŻYCZĘ!...

„Stepowy Płomień". Miły ten Pana list, choć nieco krótki — na przyszły raz proszę nam dużo napisać o sobie i swej pracy. Kwotę przysłaną przeznaczyliśmy na prenumeratę „M. Powieści" — będzie miał Pan dwa numery więcej opłacone.

Życzę Panu dużo, dużo słonecznych chwil i przechodzę do Jego komunikatów:

„Szatynka" — Miłej Dziewczynce dużo radości i zadowolenia z życia.

„Bogda". Musi mieć Pani ładne oczy. Czy zgadłem? Proszę się nie smucić — nie warto! Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i przesyłam wzajemnie uśmiech stepu!

„Malutkiej" za jej dobre serce przesyłam dużo, dużo uśmiechów i pozdrowień oraz życzę, aby życie przyniosło jej radość i szczęście! Osobne pozdrowienia dla: „Sportsmenki z Kujaw", „Maleńkiej Lusi", „Cyganki o smętnych oczach i „Krysi z nad Bałtyku".

Całej „Krainie" serdeczne pozdrowienia!

Teczka Wujka Janusza

NIE CHCĘ SPRAWIĆ ROZCZAROWANIA!

„Bursztynowe Serduszko". Pomimo, że pragnęłbym „Bursztynowemu Serduszku" przychylić nieba, to jednak życzeniu Jego nie mogę uczynić zadość. „Proszę pokazać się nam na zdjęciu!" — łatwo to powiedzieć, gorzej jednak wykonać! Stanowczo bowiem nie mam odwagi stanąć przed obiektywem fotograficznym, a to z tej przyczyny, że na zdjęciach wypadam fatalnie, chociaż w rzeczywistości jestem podobno wcale gładkim młodzieńcem. Z uwagi też na to, nie chcę sprawiać rozczarowania miłym Sympatykom mej „Teczki", tylko zapewnić ich, że codziennie można mnie znaleźć w redakcji „Moich Powieści", zawsze gotowego do pokazania swego tajemniczego oblicza i do serdecznej rozmowy tak z Sympatykami „Teczki", jak i z Czytelnikami naszego kochanego tygodnika. Czy po tym oświadczeniu, „Bursztynowe Serduszko", zjawi się szybko w Żninie? O, zapewnie, gdyby to było w Jego mocy, wzięłoby stumilowe buty i pędziło do redakcji z wiatrem w zawody, prawda? W każdym razie oczekuję... i całuję łapki za ten ostatni uśmiech z nad morza.

ŚCIEŻYNA PROSTOTY

Niezawinioną winą dziś odczuwam
tę pustkę życia, która czas już zmógł...
samotnie kroczę niczym ten wędrowiec
szlakiem słonecznych dróg — —
Nic już nie pragnę, ani nie pożądam —
nad duszą moją płoną światła gwiazd...
i płyną kręgiem kołującym fale —
przemija czas —
Jestem spóźnionym wędrowcem nieznanym,
któremu życie nie szczędzi swych trwóg...
jestem samotną wierzbiną rosnącą
wśród polnych dróg — —
A jednak tyle radości słonecznej
kryje w swei głębi każdy cichy dzień,
a jednak tyle wspomnień złotą smugą
barwi wieczorny cień —
Smutki należy zachować dla siebie,
kiedy wędrówki życia — przyjdzie kres —
tęsknoty — w sercu trzeba skrzętnie chować
i strzec się łez...
Niech ci wystarczy twoja wierność serca...
w którym czasami smutek cierniem tkwi...
niech ci wystarczy własna radość życia —
chciej wierzyc mi...!

Józef Baranowski.

RYTM POWINIEN BYĆ GŁADSZY I WIĘCEJ POTOCZYSTY!

„Bim". Drogi Panie „Bimie". Ze wzruszeniem przeczytałem Pana wierszyk. Zawarł w nim Pan ciche słowa tęsknoty, żal i smutek rozłąki, zawarł Pan to, co przepełnia duszę młodego chłopca, gdy pierwszy raz pokocha. „Czy pamiętasz?" — ileż te dwa słowa budzą wspomnień i jakąż wartość mają dla każdego człowieka! Nie mógł Pan, „Bimie", lepszego tematu zaczerpnąć do wiersza, jak tylko ten. I dla tego też wierszyk Pana wypadł nastrojowo i z sentymentem, biorącym za serce, jedynie, co mu mogę zarzucić to nieprawidłowy rytm. Tak, musi Pan uważać więcej na rytm, tak, aby był gładszy i więcej potoczysty. Łączę miłe pozdrowienia i pozostaję w oczekiwaniu na lepsze utwory.

JESZCZE NIEOPANOWANY RYTM...

P. Helena J. Wierszyki jeszcze, jeszcze niewyrobione. Coś w nich razi, acha!... rytm. Musi wziąć się z nim Pani za bary, bo inaczej wierszyki będą nadal chromały. Kończąc, zasyłam miłe pozdrowienia w stronę „Zaklętego młyna", gdzie mieszka słodkie, poetyczne dziewczątko.

SPODZIEWAM SIĘ!

„Niesforna Lulu". Nowelce Pani, nie mam nic do zarzucenia — jest ciekawa, zwięźle napisana i ogromnie życiowa. Zamieściłbym ją chętnie, gdyby była krótsza.

A może ma Pani w zapasie krótsze nowelki? Jeżeli tak, poproszę o nie i spodziewam się, że już niedługo zabłyśnie Pani w „Moich Powieściach, jako autorka interesujących nowelek. W tej myśli żegnam Panią prostym — do widzenia!

ROZSTANIE

Jeszcze chwil kilka i skończy się wszystko,
Szczęście dziś kresu dobiega,
Godzina rozstania smutna już blisko,
Wydzwoni ją losu zegar.
Na ustach ostatni uśmiech wykwita,
Blady uśmiech pożegnania,
Coś bezpowrotnie przemija, ulata,
Tak nagle przyszło rozstanie.
Łzy duże natrętnie z oczu się cisną,
Płaczą się słowa bez związku,
Spojrzenie pełne wyrzutu, bolesne,
Drżą dłonie w silnym uścisku.
Jeszcze chwil kilka i serca dwa młode,
Rozstaną się dziś na zawsze,
Pójdą w dal głuchą, w tajemną noc bladą
Z raną rozstania najkrwawszą.

Helena Thielówna.

Raj kobiet

Niezwykły złodziej

We francuskim mieście Tours odbył się niedawno przed sądem tamtejszym proces studentów, którego nieoczekiwany zupełnie wyrok wywołał zaciekawienie. Oskarżoną była młoda i bardzo ładna tancerka Claire Breard, która, jako dowód swej absolutnej niewinności, przedstawiła trybunałowi... sporego węża boa.

Panna Breard została zaangażowana przez właściciela jednego z kabaretów w Tours, niejakiegoś Fleurie, który chciał wyzyskać okres odbywającego się tam kongresu, aby ściągnąć do swego zakładu rozrywkowego gości za pomocą „egipskich tańców" sławnej pogromczyni wężów, niej. p. Izys. Istotnie występy p. Breard cieszyły się wielkim powodzeniem, a zwłaszcza jej taniec z wężem, przyjmowany zresztą i w Paryżu hucznymi oklaskami.

Zachwyceni zarówno tańcem, jak i tancerką, studenci po przedstawieniu tłumnie zebrali się w garderobie artystki, gdzie spędzono resztę wieczoru na wesołej i hucznej zabawie, obficie zakrapianej winem. Jednak na drugi dzień wszyscy uczestnicy libacji zauważyli brak różnych cennych drobiazgów, jak srebrne papierośnice, zapalniczki, a nawet portfele. Studenci donieśli o tym policji, nie umieli jednak wskazać przypuszczalnego złodzieja.

Zabawy pomimo to trwały nadal. Po każdym przedstawieniu w dalszym ciągu ginęły złote i srebrne przedmioty. Dopiero w ostatnim dniu wszystko się wyjaśniło. Jeden ze studentów zauważył, że ulubieniec panny Breard, boa constrictor, z którym tncerka nigdy się nie rozstawała, wypełzłszy ze swej skrzynki, zbliżył się do stołu i zaczął kręcić się około uczestników zabawy. Ci zaś, przyzwyczajeni do jego poufałości, nie zwracali na węża najmniejszej uwagi, zwłaszcza, że pod wpływem alkoholu spostrzegawczość ich była mocno obniżona. Znalazł się jednak jeden trzeźwy student, który zauważył ku swemu niezmiernemu zdziwieniu, że wąż zręcznie wyciągał z kieszeni rozbawionych studentów różne przedmioty, które wręczał swej pani, a ta je niewidocznie natychmiast chowała.

Ponieważ policja miała już na oku piękną tancerkę, aresztowano ją i wówczas w jej mieszkaniu, jak i w skrzynce węża, znaleziono wiele cennych drobiazgów. Przed sądem tancerka broniła się, że jakoby nic nie wiedziała o przyzwyczajeniu węża, którego zresztą zademonstrowała trybunałowi. Pomimo tak „rzeczowych dowodów" obrony, sędziowie skazali ją na 6 tygodni aresztu.

Odra

Na odrę najczęściej zapadają dzieci w okresie jesiennym. Dobrze więc jest, jeżeli matka zapozna się bliżej z samą chorobą, z jej objawami, jak też i skutkami, które mogą nastąpić przy lekceważeniu choroby.

Nieraz w dwa tygodnie po zarażeniu się odrą, dziecko nie odczuwa żadnych dolegliwości, chodzi do szkoły, zarażając inne dzieci. Pierwsze objawy mogą występować bez temperatury, dziecko czuje się zmęczone, dostaje silnego kataru, pokasłuje, oczy ma zaczerwienione. Bardzo często już wówczas pojawia się zaczerwienienie plamiste gardła. Przy tych objawach dziecko bezwzględnie zatrzymać w domu w cieple.

Pierwsze podniesienie temperatury 39 — 40 stopni trzyma się do czasu ukazania wysypki, lub też znika po 24 godzinach, aby znów wystąpić po kilku dniach. Im szybciej wysypka wystąpi, tym lepiej; aby ją wywołać, dobrze jest dawać dziecku miód pitny. Wysypka ukazuje się zwykle najpierw za uszami, następnie przechodzi na twarz, szyję, ramiona, aż obejmie całe ciało. Oczy są zaczerwienione, powieki nabrzmiałe (dobrze w pokoju światło przyciemnić), chrypka, ból gardła i kaszel.

W powikłaniach jednak odry choroba może się stać groźną, zwłaszcza gdy drogi oddechowe są silnie zajęte. Błona śluzowa krtani może ulec takiemu obrzmieniu, że grozi uduszeniem. Odra może wywołać zapalenie płuc, gruźlicę płuc. Częstem też po odrze bywa zapalenie ropowe ucha środkowego, co pociąga za sobą przytępienie słuchu, zapalenie spojówek.



K 22 883 Piękny model sukni popołudniowej z lekkiej ciemno — niebieskiej wełny. Spódniczka o kroju kloszowym, górna część sukni i rękawy marszczone. Szarfa dwukolorowa jako pasek. Potrzeba około 3,95 m. wełny na sukienkę i 60 cm do przybrania, szer. 95 cm.

K 22 900 Elegancka suknia na herbatkę, wykonana z jedwabiu lub aksamitu, uszyć ją można z długimi lub krótkimi rękawkami. Potrzeba około 3,30 m. szer. 90 cm.

K 22 899 Z ciemno — zielonej, deseniowej, lekkiej wełny wykonać można tę sukienkę popołudniową; przybranie z białej georgette'y, pasek zamszowy. Potrzeba 2,75 m. deseniowego i 35 cm jednokolorowego jedwabiu, szer. 95 cm.

K 22 881 Elegancka, czarna suknia aksamitna ozdobiona pliskami z białej georgette'y i szeroką kokardą. Potrzeba około 4 m. aksamitu, szer. 90 cm. i 1 m. plisowanej ryszy.

K 22 887 Bardzo miła sukienka popołudniowa z jasnej, lekkiej wełny; spódniczka o kroju kloszowym.

K 22 888 Dwuczęściowa, bardzo młodociana sukienka z niebieskiej wełny, obszyta sutażem. Potrzeba około 3,80 m. mater. szer. 95 cm.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2 zł za sztukę, po uprzednim nadesłaniu należności.

Odry nie należy lekceważyć, lecz w każdym wypadku wezwać lekarza, by zapobiec ewentualnym, groźnym następstwom.

Rady praktyczne

ABY SCHUDNĄĆ, NALEŻY JEŚĆ TŁUSZCZ

Zwolennikom odchudzania się zaleca profesor Cathart z uniwesytetu w Glasgow oryginalną receptę — odżywiania się tłuszczem. Na jednej ze swych prelekcyj prof. Cathart, uzasadniając swe stanowisko, dowodził, że tłuszcz, spożyty nawet w minimalnych ilościach wywołuje wrażenie sytości. Ludzie, odżywiający się tłuszczem, chudną, chociaż wydaje się to paradoksalne, — gdyż uczucie sytości nie pozwala na pobieranie innych pokarmów. W ten sposób ilość spożywanych dziennie pokarmów zmniejsza się, a co za tym idzie — następuje odchudzenie organizmu, pod warunkiem jednak, że prowadzący kurację odtłuszczającą spożywać będą tłuszcz bez domieszki innych pokarmów, czy substancyj odżywczych.

PRZYBRANIE STOŁÓW ZIELENIĄ W ZIMIE

Ponieważ kupno kwiatów ciętych do przybrania stołu uważamy za zbytek, pomysłowa gospodyni ozdobi stół zielenią w bardzo tani sposób. Kilka kawałków kartofli słodkich, kawałki marchwi z górnej części, (nie większe jak cal), sadzi się w ładnym płytkim naczyniu napełnionym piaszczystą, ziemią. W krótkim czasie mieseczka dostarczy nam świeżej, młodej zieleni roślin, nigdy niewidywanych w bukiecie.

JAK ZAPOBIEC PĘKANIU SZKLANEK

Ażeby szklanki stale nam nie pękały trzeba je zahartować. Dlatego wkłada się je w naczynie z zimną wodą, dodaje niewiele soli kuchennej i zagotowuje wodę powoli aż do wrzenia. Po półgodzinnym gotowaniu zdejmuje się naczynie z ognia i stawia na bok. Po ochłodzeniu wody wyjmuje się szklanki z naczynia i wyciera ręcznikiem. Szklanki potem już nie pękają.

UODPORNIANIE PODESZEW

Podeszwy obuwia drą się niestety zbyt szybko. Można im jednak dać większą odporność przez nasmarowanie nowych podeszew gorącym olejem i wcierać tak długo, dopóki olej nie wsiągnie w nie.

UTRZYMANIE W CZYSTOŚCI BLACH I BRYTWANNY

Blachy do wypieku ciasta oraz brytwanny po użyciu nigdy nie należy zmywać wodą, ciasto (placek) lub mięso łatwo bowiem potem przywiera do blachy. Po użyciu należy blachy wytrzeć papierem i zaraz natrzeć skórką słoniny, brytwanny zaś nagrzać i wycierać solą kuchenną.

CZYSZCZENIE GARNKÓW ALUMINIOWYCH

Garnki aluminiowe oszpecone wewnątrz plamami można doprowadzić do dawniejszego czystego wyglądu, jeśli się w nich gotuje rabarber (Rabarber w tym razie do jedzenia się jednak nie nadaje.)

Czy wiecie, że...

Farmerki nie mają wakacyj. Z badań przeprowadzonych w 10.000 domach farmerskich, na terenie 33 stanów wynika, że 87 procent farmerek nigdy nie miało wakacyj.

—o—

Angielki w służbie rządowej. Przeszło 70 tysięcy kobiet w Wielkiej Brytanii zatrudnionych jest w służbie rządowej, przeważnie na poczcie.

—o—

Jak wykazuje statystyka, kobiety w Anglii wydały w ostatnim roku okrągło trzy czwarte miliarda złotych na jedwabne pończochy. Niedawno na posiedzeniu Izby Handlowej tekstylnej w Londynie rzucił ktoś pytanie: na jaki użytek obracały dawniej Angielki swe „kieszonkowe" pieniądze, gdy zadawalały się skromnie czterema parami grubych wełnianych pończoch na rok?

—o—

Towarzystwo francusko - japońskie rozpisało Konkurs na najlepszy obraz, przedstawiający piękność Mandżurii. Wśród 380 uczestników konkursu pierwszą nagrodę otrzymała malarka francuska Menon Kenardel. Ogółem na czterdziestu artystów nagrodzonych w tym konkursie, jest 19 malarek.

WOJTEK GĘGAŁA

(Dokończenie)

Z drugiej strony wynagradzał tę swoją gapiowatość prawdziwą ochotą do pracy i serdecznym przywiązaniem do nas. Poza tym chodził około swego konia rzeczywiście z umiejętnością, ba! mądrością wcale u niego nie spodziewaną. W tym jednym zakresie umiał być niezrównanym.

Jego „Wybiegajka", tak z sobie tylko wiadomowej przyczyny nazwał naszą miłą klacz, miała w nim nie lada troskliwego i czułego opiekuna.

On żył dosłownie sprawami swego konia. Godzinami rozmawiał z nim, głaskał go, pucował, glansował, chędożył, niczym moja matka swoje kwiatki.

Wybiegajka zaś była koniem wielce rozumnym i — zdaje się — doskonale rozumiejącym swego pana. Rżała wesoło na jego widok, strzygła uszami i często śmiała się doń swym śmiechem końskim, raźnym i bardzo głośnym. Bywało nieraz, że „uśmiechała" się tylko wargami, cicho i dyskretnie.

Wojtek twierdził, że czyniła to w chwilach wzmożonego poczucia swej ważności. O! bo Wojtek zawsze utrzymywał, że ona jest ogromnie ważna w sprawach naszej willi.

To pewne, że dla niego bezwzględnie była ona wszystkim.

Stary to był u nas zwyczaj, w niedzielę i święta jeździć na sumę.

Wojtek (oczywiście!) powoził z miną niesłychanie dostojną i... z świątecznie gęgającymi pokrzykaniami na ulubioną Wybiegajkę.

W niedzielę raniutko Wojtek wstawał i pucował konia na lustro. Czynił z Wybiegajki królewskiego cugowca. A gadał do niej, a przygadywał, a uczył, chwalił, a obroku przysypywał!...

Byłoż bo, było tego cackania!

Konik rżał raźno, bił kopytem w ziemię i cieszył się na tę coniedzielną paradę.

O siódmej Wojtek szedł do kościoła na „ranne". Potem dopiero zjadł śniadanie i przysposabiał wszystko do jazdy.

Mamusia natomiast, w towarzystwie ojca, witała swoje piękne kwiaty i snuła nowe, pracowite projekty.

Tatuś, uśmiechnięty, kochany, wesoło jej przytakiwał. Mnie zaś wolno było w te chwile używać dowoli huśtawki. Tatuś pozwalał mi zawsze huśtać się wysoko, wysoko! Wtedy bona nie miała głosu, nie było twardego: Tylko dziesięć razy i nie wysoko...

Ach, jakie słodkie bywały u nas te niedzielne poranki! Wszyscy czuli świątecznie i wszyscy byli zadowoleni!

Na oznaczoną godzinę podjeżdżał Wojtek sztywno i nosowo wołał „prr". Owo „prr" było właściwie Wojtkowym wybiegiem, i powtarzało się z niebywałą melodyjnością, zwłaszcza, gdy późno już było, a rodzice mitrężyli przy kwiatach.

Wreszcie siadaliśmy i Wybiegajka, prężąc nogi, wyrzucając zgrabną główką — wiozła nas na sumę.

Wojtek nigdy nie chodził wtedy do kościoła. Tkwił sztywno na koźle i modlił się, poruszając lekko wargami. Nie gadał z innymi woźnicami, z niesłychaną pogardą zmilczając, często drwiące, zaczepki.

Poza tym Wojtek nie palił w niedzielne popołudnia papierosów. Po prostu miał swoje, bardzo w tym wypadku chwalebne, fantazje. Po południu spieszył znowu pieszo na nieszpory.

Mam wrażenie, że zasadą jego było nie jeździć, a pieszo śpieszyć do Boga z pokłonem.

Lubiliśmy go za to. Lubiliśmy go w ogóle, wbrew jego gapiowatości i nieumyślnym kawałom. A może... a może właśnie dla nich?!

Wojtek był czapa, nieporadnik; Wojtek był niezgrabiasz. Lecz ten sam Wojtek był świetnym „koniuszym" i był zawołanym gospodarzem.

Nikt tak pięknie nie orał, nikt takich równych skib nie odrzucał, jak nasz Wojtek. A jaki on wtedy szczęśliwy był! Hej, Mocny Boże! Uśmiech rozjaśniał tę zamazaną twarz, pochylone zwykle barki dziwnie prostowały się i rosły. Rzekłbyś, nowy duch w Wojtka Gęgałę wstępował.

A swoim zwyczajem, gadał do Wybiegajki bez przerwy; podczas gdy ona ciągnęła mu lśniący pług chętnie i z cicha rżała.

Człowiek i koń rozumieli się doskonale i harmonia między nimi była niecodzienna. Absolutnie żaden zgrzyt nie mącił jej, nie zaciemniał.

Jako się rzekło, Wojtek orał, siał zboże, sadził kartofle — harował z nadzwyczajną ochotą. Może to dziwne, lecz w tej pracy Wojtek żył. A żyjąc — śpiewał...

Śpiewał piskliwym, nosowym falsetem, jakieś przeciągłe, beznadziejnie smętne melodie; jakieś zawodzące dumki — śpiewanki.

Matka w takich chwilach miała słodki uśmiech i błogosławiącym ruchem chyliła się nad którąś z jasnych stokrotek, alboli kępką niepozornych rezed, co takie skromne i takie ciche w byle kątku zieloną plamą przypadły, i pachły, pachły!...

Ojciec zazwyczaj wesoło mrugał z za złotych okularów. A ja? Och, ja wówczas czułam dziwacznie. Bolało mnie serce i smutek płakał nad Wojtkową dolą i nad Wybiegajką — „Wojtkowym lubieniem".

No, ale ja byłam mała, wrażliwa i niemądra — a tatuś z mamusią znali życie i znali ludzi.

Pamiętam doskonale, że równo z końcem robót w polu, pracy szerokiej choć ciężkiej, Wojtek przestawał śpiewać. Natomiast bladł, szarzał... Wojtek — podług słów matki — zamieniał życie w istnienie bezbarwne i ciche.

Aż jednej zimy stała się rzecz straszna. Ojciec, wezwany nagle do chorego, wyjechał z jakimś młodym, niedoświadczonym chłopcem, co koń wyskoczy, gdyż wypadek był ciężki, wymagający natychmiastowej pomocy.

Na nieszczęście Wojtka w domu nie było. Chodził za sprawunkami do miasta. Gdy wrócił i dowiedział się o nagłym wyjeździe ojca, zbladł i wyraźnie stracił spokój. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Gęgając ponuro, szwendał się z kąta w kąt; niby to przygotowywał obrok i derki dla Wybiegajki, lecz właściwie marudził i sumował pod wpływem żrącego go niepokoju. Tak niemądrze krzątał się bez potrzeby i celu, tak grał na nerwy, że w końcu już wszystkich niemiłe uczucia naszły.

I stało się! Późno wrócił ojciec, obcym jakimś wozem i z ciężkim, gnębiącym bagażem... Wybiegajka leżała na tym straszliwym wozie! Była już sztywna i na nasze strwożone pokrzyki absolutnie nieczuła. Okropnie wyglądał sterczący piszczel złamanej nogi. To ojciec ją zastrzelił, aby nie męczyła się niepotrzebnie.

Nie umiem do dziś spokojnie myśleć o tych dawno minionych chwilach. Trudno bez bólu wspomnieć na szloch Wojciecha, na jego przenikliwe jęki.

Długo w noc trzęsłam się pod kołderką rozdrażniona, przejęta — a gdy zasnęłam, trapiły mnie sny ciężkie.

Rano okazało się, że Wojtka nie ma; odszedł bez pożegnania. Opuścił ludzi i dom, w którym chowała się Wybiegajka, opuścił miejsce, które nie dało jej zabezpieczenia przed tak niepotrzebną śmiercią.

Porzucił wszystko w bólu i żalu i poszedł! Wojtek poszedł precz!...

Poniósł z sobą złą dolę, pochylone ciężko barki, i te swoją twarz tępą, szarą. I oczy poniósł bezmyślne, głupawe.

Poszła z nim niezaradność jego i jego nosowe, bez sensu gęganie.

A myśmy wszyscy chodzili jak struci. Tatuś nerwowo poprawiał złote okulary. Mamusia smutno chyliła się nad kępką rezed, co takie niepozorne, takie ciche — wdzięcznie się zieleniły w kątku cieplarni i pachły, pachły...

Ciche stało się odtąd życie w naszej willi. Urwały się zabawne nieporozumienia, „wartkie" tłuczenie szkieł inspektowych itp. Ustały nieumyślne kawały.

Nie było Wojtka, przepadła Wybiegajka — na sumę spieszyliśmy pieszo.

Była to doprawdy przykra zima w mym dziecięcym życiu.

Aż raz z wiosną przyjechał ojciec z nową „Wybiegajką" i... z naszym Wojtkiem! Tak, z Wojtkiem!!

Zahukane było „toto", obdarte znowu i wygłodniałe. Bodajże na gnuśnika patrzał ten nasz — najpoczciwszy w świecie — figurant.

Cieszyli się z jego powrotu rodzice — ja zaś mogłam, jak dawniej, śmiać się serdecznie i dużo.

Lecz kiedy pierwszy dzień orki rozbrzmiał Wojtkowym piskliwym falsetem — zachłysnęłam się czymś ciepłym i drgającym w krtani i... pędem dopadłszy matusinych rezed, porwałam garść sporą niepozornych kwiatków, wgarnęłam ją do serca, i na zawsze mi odtąd w nim pachną!...

Mirania Galińska.

— Zuzia? — przypomniał sobie jeden ze szpiclów, — tak się nazywała jego kochanka! Hej, otwierać tam, bo drzwi każemy rozwalić!

Kłapiąc zębami z trwogi nie wiedziała Zuzia, co począć.

— Co tam się stało? — spytała.

— Dowiecie się! — odpowiedział głos — ale naprzód otworzyć! Wzywam w imieniu prawa!

— Zaraz! — odpowiedziała Zuzia — muszę wstać, bo już jestem w łóżku.

Prędko rozrzuciła pościel drugiego łóżka, zrzuciła z siebie kaftanik i rozplotła włosy.

Potem dopiero otworzyła drzwi i całe mieszkanie napełniło się ludźmi.

Szpicle szukali we wszystkich kątach pod łóżkami i w drugiej izbie, gdzie stały balie, beczki i różne przyrządy do prania i prasowania.

Potem dopiero jednemu z nich przyszło na myśl, żeby buszować w łóżkach praczek.

Szukali we wszystkich i na ostatku dopiero, gdy już sami zaczęli sądzić, że napróżno czas tracą w tej izbie, gdy gagatek tymczasem Bóg wie gdzie ucieka — przystąpili do łóżka, w którym ukryty był Ferdynand.

Gdy szpicel ściągnął kapę z łóżka, ukazała się spod pierzyny straszliwie zmieniona wyrazem trwogi twarz przestępcy.

— A, mam cię ptaszku! — zawołał szpicel uradowany. — Koledzy — zwrócił się do reszty szpiclów — mnie macie do zawdzięczenia, że wysoka nagroda za schwytanie tego faceta nas nie minie. Wyście już chcieli iść, a ja...

Nie dokończył, gdyż w izdebce ozwał się straszny huk.

To Ferdynand korzystając z wolnej chwili, wyciągnął rewolwer i skierowawszy lufę ku własnej skroni — zastrzelił się. Krew bluznęła na pokój, zaczęła się sączyć z rany z rany na łóżko.

W tejże chwili Zuzia z okropnym okrzykiem grozy zsunęła się zemdlona na ziemię.

Gospodarz posłał na salę balową po Mollę.

Energiczna ta niewiasta wróciwszy do domu chwyciła się za głowę; ale wnet zabrała się z energią do rzeczy.

Przede wszystkim usunęła gawiedź z mieszkania, potem posłała po lekarza.

Jak się okazało z jego orzeczenia, życie Zuzi i jej potomka wisiało na włosku.

ROZDZIAŁ CCVIII.

Pustelnik w opuszczonym mieście

Przez łan kwitnący bujną przyrodą meksykańską jechało czterech jeźdźców.

Dalej na przedzie Europejczycy mieli stroje dostosowane do klimatu meksykańskiego i kapelusze z szerokimi kresami, chroniącymi od gorących promieni słońca.

Z tyłu jechali służący. Po ciemnych rysach twarzy znać było, że to tubylcy.

— Przecie to inne życie tutaj! — odezwał się po niemiecku jeden z jadących na przedzie — jak tu cudnie, jak cudnie!

Podniósł głowę do góry i rozmarzony patrzył po okolicy.

W delikatnych pięknych rysach poznajemy hrabiego Eryka Raucha.

— Rzeczywiście — odpowiedział jego towarzysz, a był to, jak się domyślimy, Leon Waldau — w bliższym zetknięciu z cudami



Jedna z placówek japońskich na froncie północnym. Jak widzimy na zdjęciu, górzysty teren utrudnia niewątpliwie operacje wojenne

przyrody, zdaje się człowiekowi, że się zbliża do samego bóstwa.

— Ej! — zaśmiał się hrabia — ty przemawiasz zaraz, jak profesor albo poeta. A ja mam w tej chwili pragnienia bardzo prozaiczne. Głodny jestem, że zjadłbym wołu i przyznam ci się też, że chętniebym się już raz przespał znowu pod uczciwym dachem.

Odwrócił się do służby i w dialekcie hiszpańsko-angielskim zapytał, czy nie ma gdzie w pobliżu jakiego miasta lub miasteczka.

Służący jego odpowiedział, że za pagórkiem, który widać było w pewnym oddaleniu, stoi miasteczko zbudowane przez poszukiwaczy złota.

Gdy wyjechali na szczyt wzgórza, wskazał na miasto rozciągające się z drugiej strony u stóp stoku i dumny był z tego, że tak trafnie przepowiedział.

Miasteczko miało dziwny wygląd. Domki były drewniane, parterowe i podobne bardzo do siebie. Na próżno jednak cieszył się hrabia, że wjedzie znowu między ludzi, zje dobrze ugotowaną strawę i prześpi się w wygodnym łóżku.

Bowiem ku swemu ogromnemu zdziwieniu, wjechawszy w ulice miasta, zastali je zupełnie puste.

Miasto jakby wymarło.

Niemiłe wrażenie spotęgowało się jeszcze, gdy podróżni zsiadszy z koni zajrzeli do wnętrza kilku przydrożnych domów.

Nigdzie ani żywej duszy! W mieszkaniach kurz, który wskazywał, że mieszkańcy dawno je opuścili, — meble z grubsza wyciosane z drzewa brudne i warstwą kurzu pokryte, dawno nie były używane.

Pustka i chłód wiał z tych izb.

Przeszli tak kilka domów i natrafili na hotel.

W sali jadalnej stały jeszcze długie stoły i poprzewracane stołki, w sali bilardowej zielona płyta i kije, niektóre krwią i włosami ludzkimi oblepione, a wszystko przysypane grubą warstwą kurzu.

Tu na stołach i stołkach leżały jeszcze brudne karty i kostki, ślady zabaw poszukiwaczy złota. Całymi dniami w ruinach grzebali złotem, jak długo starczyło pokładów, pracowali od rana do wieczora w pocie czoła, aby potem od wieczora do rana przegrywać to, co ciężką pracą wydobywali z łona ziemi.

Dziwnie trupi wygląd miało to miasto, opuszczone już tak dawno przez mieszkańców.

Wyglądało jak miasto umarłych i podróżni mimo woli z zababonnym strachem oglądali się, czy gdzie z jakiego kąta nie wylezą upiory.

Nagle zadrżeli ze strachu.

— Czego tu!? — zawołał ktoś nad nimi głuchym, grobowym głosem i w tej samej chwili ujrzeli przed sobą wysoką postać.

Był to człowiek tak chudy, że skóra, jak pergamin pokrywała wystające jego kości. W zżółkłej twarzy świeciło dwoje oczu dziwnym ogniem, a długie czarne włosy spadały na skronie.

Długa, spadająca na pierś czarna broda, w której srebrzyły się siwe nitki włosów, nadawała całej postaci coś uroczystego i przejmującego grozą.

Hrabia Rauch i Leon Waldau nie należeli do ludzi tchórzliwych.

Ale niespodziany widok tak dziwnego człowieka, nagłe jego zjawienie się wśród pustki wionącej grobowym chłodem i głos jego pochodzący jakby z podziemi — wszystko to sprawiło, że zapomnieli języka w gębie.

Zjawisko jednak nie czekało na odpowiedź.

— Rok cały miałem spokój od tego plugawego plemienia ludzkiego — mówiło — a teraz znowu przychodzą mi przypominać swe istnienie. Czego chcecie tu, robaki nikłe!?

Przybyli zrozumieli, że mają do czynienia z obłąkanym i chcieli wyjść, by go pozostawić jego samotności.

— Zostać! — zawołał dziwny człowiek, widząc, że się zabierają do odejścia — możecie zostać. Niech nikt nie mówi, że hrabia Fontenay złamał prawo gościnności. Czego chcecie?

— Sądziliśmy! — odrzekł hrabia — że znajdziemy kogoś, u którego moglibyśmy



Z radosną dumą pokazuje mała Shirley Temple koleżaneczce swój domek dla lalek

dostać łyżkę ciepłej strawy. Widzimy jednak, że przeszkadzamy tutaj.

Zabierał się znowu do odejścia, bo niemiło mu jakoś było w towarzystwie tego żyjącego na odludziu obłąkańca.

On jednak zatrzymał ich.

— Hrabia Fontenay — powtórzył znowu — nie będzie niegościnnym. Dam wam, co mam.

Gwizdnął przeraźliwie i na ten odgłos zjawiło się w pokoju dziwne jakieś stworzenie.

Ni to człowiek, ni małpa!

Ręce długie zwisały poniżej kolan, ciało okryte łachmanami ubrania i skórami zwierzęcymi. Czoło i twarz po oczy prawie pokryte włosami.

— Chiko! jeść! — rzucił mu pustelnik. Chiko wyniósł się i po pewnej chwili wrócił, niosąc na czarnej patelni pieczeń bawolą, a na desce kilka suchych placków kukurydzianych.

Pustelnik wziął jeden placek i w milczeniu zgryzł nie zwracając uwagi na gości. Oni nie dali się prosić, ponieważ byli bardzo głodni.

— Czego się zażeracie? — rzucił się nagle pustelnik. — Czyż nie wiecie, że tucząc wasze ciało, gotujecie tylko pokarm dla robactwa!? Pomżecie, a robactwo w ziemi toczyć będzie gnijące wasze cielsko! Patrzcie na mnie! Od kiedy uciekłem od ludzi, coraz bardziej odzwyczajam się od pokarmów. Jak zabiłem w sobie wszelką pożądliwość za marnościami tego świata, tak teraz odzwyczajam żołądek od doprowadzania pokarmu. Dojdę kiedyś do tego, że od niczego nie będę zależnym, a ciało moje będzie tylko pokrywą dla ducha! Duch żyje we mnie, a wszystko inne, to tylko marność nad marnościami.

Rauch i Waldau ze współczuciem patrzyli na tego obłąkańca. A więc tak go coś zraziło do świata, że nie tylko uciekł od ludzi, ale jeszcze głodem się torturuje dla przywidzenia, że nic go nie będzie wiązać z marnością tego świata!

Rzeczywiście pustelnik wyglądał strasznie. Wychudły do niemożliwości, przedstawiał widok człowieka, który leży na katafalku. Gdyby nie oczy pełne niemiłego jakiegoś blasku, można by sądzić, że to trup.

— Nie psujcie mi samotności, gdyście już zjedli — rzekł, zwracając się znowu do gości — wynoście się z mego miasta! Niech zapomnę, że żyje jeszcze na świecie to nędzne plemię zwane ludźmi. Idźcie, jako hrabia Fontenay zrobiłem, co do mnie należy — jako pustelnik pragnę spokoju! Precz ode mnie!

Podróżni przenocowali w jednym z pustych domów miasta i nazajutrz nie mogli sobie odmówić tego, by raz jeszcze odwiedzić pustelnika.

Wchodząc w dom, w którym mieszkał hrabia Fontenay, usłyszeli coś jakby wycie.

Uderzyło ich to i niespokojni weszli do pokoju, w którym zastali go wczoraj.

Leżał wyciągnięty i sztywny, a przy nim Chiko przykucnięty wył żałośnie.

Zrozumieli od razu sytuację.

Pustelnik padł ofiarą swojej fikcji. Tak długo morzył się głodem, aż się zamorzył na śmierć.

Chiko żałosnym wzrokiem i głosem błagał o pomoc.

Leon dotknął się pulsu pustelnika — nie bił. Poszukał serca — nie biło.

Pustelnik nie żył.

Trzeba było sprawić biedakowi jaki taki pogrzeb.

Dla wydania odpowiednich zarządzeń wrócili do swego mieszkania.

Po drodze zastanawiali się nad tym, kim mógł być ten nieszczęśliwy człowiek.

Leon przypomniał sobie, że on kilka razy wymienił nazwisko hrabiego Fontenay.

Czyżby to było możliwe, żeby ten potężny magnat francuski, przyjaciel Napoleona III, był identyczny z tym nieszczęśliwym magnatem francuskim?

Trudno było w to uwierzyć.

A jednak, gdy wrócili potem ze służbą do niego, żeby go pochować i przeszukali jego kieszenie, aby znaleźć papiery, domysły ich się stwierdziły.

Zmarły miał w kieszeni portfel z kosztownej skóry, ozdobionej monogramem i koroną hrabiowską.

Wewnątrz była nominacja hrabiego Fontenay na prezydenta ministrów Francji i dyplomy różnych orderów, wszystko podpisane przez Napoleona III.

Między innymi znaleźli tam list następującej treści:

Może ten papier nieczytany zbutwieje i rozpadnie się. Może przez dziesiątki lat stopa ludzka nie wtargnie w samotność, w której żyłem. Zostawię jednak ludzkości mój testament, spuściznę zrozpaczonego.

Kto nie zna mego nazwiska? Kto nie słuchał z podziwem, lub zazdrością imienia hrabiego Fontenay? Tak! Ja byłem mocarzem tej ziemi, dzieckiem szczęścia! Byłem na zawrotnych wyżynach i tym głębiej upadłem! Byłem bogaty, a dobry mój monarcha przysporzył mi dóbr jeszcze. Byłem z dostojnej rodziny, a mój łaskawy król obsypał mnie nowymi dostojeństwami. Cała Francja leżała u moich stóp. Szczęście moje było bez granic! Nie brakowało mi niczego!

Miałem wszystko. Miałem anielsko cudną żonę, którą kochałem i która mnie kochała. Miałem potomka, cudne dziecko, spadkobiercę mego majątku i imienia!

O, ja głupiec nieszczęsny! Sądziłem, że mi tego szczęścia nikt nie wydrze!

Nastąpił rok 1870 — krwawa wojna niemiecko-francuska — tysiące ofiar. Sedan, książę mój i ja strąceni z wyżyn szczęścia! Nigdy nie zapomnę tego dnia!

O, gdybym był wtedy usłuchał podszeptów duszy i zabił się!

Monarcha mój zgnębiony i unieszczęśliwiony! Francja, która niemiłosiernie wyrzekła się swego dobrotliwego panującego i stała się republiką. I ja pozbawiony mego dostojeństwa! Na czele Francji stanął Tiers!

Czyż ten wspaniały kraj miał być posłusznym mieszczańskiemu dorobkiewiczowi?

Próbowałem wszędzie obudzić sympatie dla upadłego monarchy, uknułem spisek, ale odkryto go — dobra moja Republika skonfiskowała, a mnie wygnała. Kiedy w przebraniu przekradłem się do rodzinnego zamku, by zabrać rodzinę, zastałem tylko grób mego dziecka. Żona moja uciekła z jakimś bogatym Rosjaninem; miłość jej trwała tylko tak długo, jak moja potęga i gdy widziała moją niedolę, gdy jej już nie mogłem dać wygód i przepychu, rzuciła się w objęcia bogatego kochanka.

Czystą miłość w niedoli oddała za hańbę i niesławę w przepychu! Taką była kobieta, którą kochałem całym sercem. Biedny, pozbawiony majątku, sławy, czci i szczęścia ruszyłem na wygnanie. Szukałem samotności, by uniknąć wszelkiego zetknięcia się z ludźmi. Od tej pory często zmieniałem miejsce pobytu, gdy ludzie wtargnęli w mój dom. Zawsze uciekałem od nich. Jak długo jeszcze tak będę uciekać od ludzi?

Czyż nigdy nie zaznam spokoju?! Spokoju i zapomnienia! To moja tęsknota.

Oto historia mego życia, aby wędrowiec, który to znajdzie, miał naukę:

Urodzony z prochu, nie zapominaj, że wszystko jest marne! Ziemska wielkość, sława, majątek, miłość, szczęście rozpada się w proch i popiół — nie pożądaj ich — bo to marność nad marnościami!

Z dziwnym uczuciem czytali podróżni ten list, pisany zdaje się w jaśniejszych jeszcze chwilach zmarłego. Papiery jego wzięli do siebie, a jego ułożyli w wykopanym na prędce grobie, nad którym pobożnie uklękli i zmówili pacierz.

Kiedy wróciwszy do domu, gdzie odbyli nocleg, spakowali się i ruszyli w dalszą drogę, przejeżdżali jeszcze raz obok grobu i zobaczyli, że Chiko pochyla się nad nim w dziwnej postawie.

Zbliżywszy się, zrozumieli skąd to pochodzi.

Chiko się powiesił.

Ten pół-człowiek, pół-zwierzę, który nie umiał mówić i wydawał z siebie tylko syk, zrozumiały jedynie dla pustelnika, lub żałosne wycia, przywiązał się tak do swego pana, że nie przeżył jego śmierci.

ROZDZIAŁ CCIX.

Konflikty

Hortensja wróciła z Berlina i żyła w Wiedniu sama ze swoim smutkiem.

Nie wychodziła prawie nigdzie, od czasu do czasu tylko szła na grób rodziców.

Ponieważ Leon znał jej nowe mieszkanie na Franzensring l. 5, więc nie było potrzeby wynajmowania nadal starego na Schönbrunnerstrasse i Hortensja wymówiła je zaraz.

Wszystkie rzeczy kazała przenieść do siebie i ze wzruszeniem patrzyła na książki i skrypty, z których uczył się Leon.

Od czasu do czasu odwiedzał ją asesor Feldern, jako opiekun, i ujmującym zachowaniem się potrafił na nowo pozyskać jej zaufanie.

Tak upływały jej dni jednostajnie, na rozmyślaniach i tęsknocie.

Pewnego razu idąc na cmentarz, spotkała Piotra Petöffyego czarnego.

Ucieszyła się bardzo, gdy ją powitał. Wypytywała się troskliwie o jego ranę i dziękowała mu, że dla jej ojca był, jak się dowiedziała, tak dobrym przyjacielem. Gdy książę nieśmiało prosił o pozwolenie złożenia jej wizyty, zapewniła go, że jej będzie bardzo przyjemnie, jeżeli zechce przyjść.

Powiedziała to z właściwą sobie naiwnością, nie przeczuwając nawet, jakie stąd mogą wyniknąć konflikty.

W kilka dni później był u niej Feldern, gdy Luigi wszedł i oznajmił przybycie Petöffyego.

— Pani go chyba nie przyjmie! — zawołał Feldern.

— Dlaczego? — zdziwiła się Hortensja naiwnie — przecie ja go bardzo lubię! Proś, Luigi! — zwróciła się do starego sługi.

Zanim Feldern miał czas coś odpowiedzieć, służący wyszedł i książę wszedł do pokoju.

Hortensja przywitała go serdecznie.

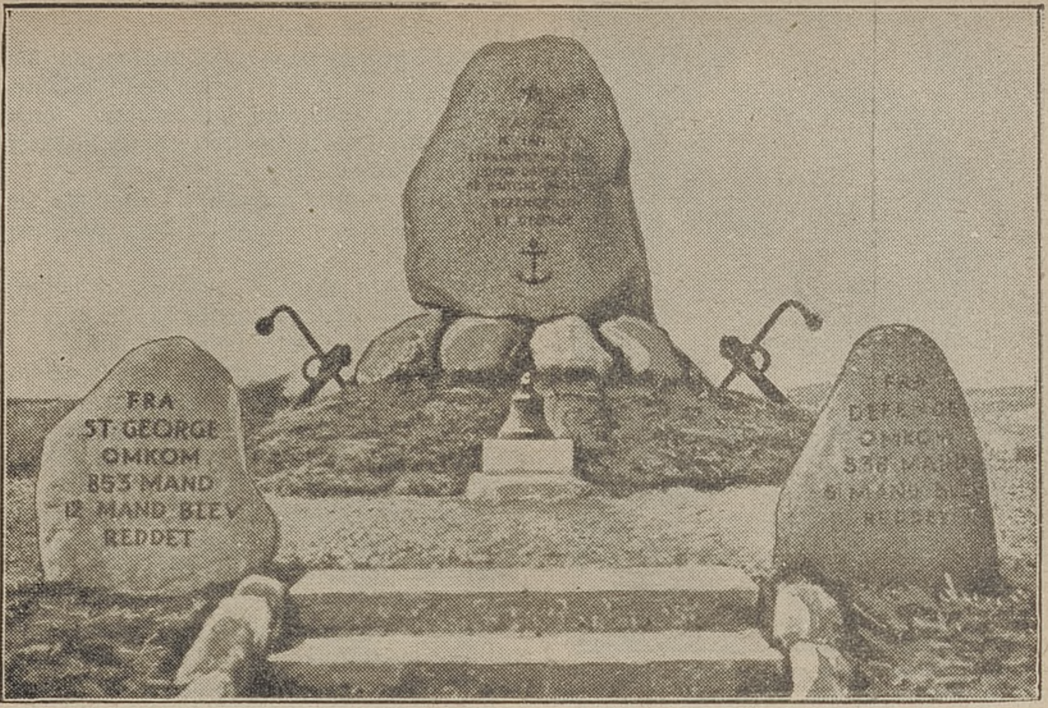
— Bardzo ładnie, że pan już dziś przyszedł — rzekła — i cieszę się, że się pan nie będzie nudził, bo mam towarzystwo.

Wskazała na Felderna, z którym książę przywitał się ceremonialnie.

Kłął go w duchu, że mu wlazł w drogę, bo jakkolwiek sam na sam z Hortensją nie byłby z pewnością nie mówił nic takiego, czegoby ktoś trzeci nie mógł słyszeć, to jednak byłby wiele dał za to, żeby był z nią bez świadków.

Nie bardzo więc rad był Feldernowi, a ten znowu w duchu mniej więcej to samo myślał o nim.

Maskowali się jednak świetnie, tak, że naiwna Hortensja wcale się nie spostrzegła.



W Jutlandii odsłonięto onegdaj pomnik ku czci 1400 Anglików, którzy zginęli w katastrofie okrętowej w r. 1811.

Prowadzono swobodną wesołą pogadankę, aż póki książę, widząc, że Feldern się nie wybiera, a czas pierwszej wizyty dawno już minął, wstał i pożegnał się.

To samo zrobił w tej chwili Feldern i wyszedł z nim razem.

Przed bramą powiedział mu, że ma z nim o czymś pomówić i zniewolił go, żeby szedł z nim do jego mieszkania.

— Daruje książę — rzekł — gdy siedzieli w jego elegackim salonie, — że zapytam, co znaczyła wizyta księcia u pani Waldau?

— Mógłbym to pytanie odwrócić — odparł książę, zmarszczywszy brwi — i spytać, co znaczyła pańska wizyta u pani Waldau, panie von Feldern?

— Odpowiedź na to nie trudna — rzekł spokojnie Feldern — jestem pani Waldau opiekunem i zarządcą jej majątku.

Książę zachmurzył się.

— Mógłby był poczciwy nieboszczyk Gellini — rzekł po chwili — tak samo mnie zamianować jej opiekunem, za to, żem za niego nadstawiał karku. Co pan daje pierwszeństwo w tym względzie!?

Uśmiechnęli się obaj mimo woli.

— Wiek, mości książę — odpowiedział asesor — mój wiek poważny!

— Czy pan o tyle starszy ode mnie?

— O całych lat 14, mości książę — odrzekł Feldern, bo mam 38 lat. Jestem w tym wieku, że moje wizyty nie skompromitują tak pani Waldau, jak odwiedziny 24-letniego, a tak przystojnego mężczyzny, jak pan, mości książę!

— Czyż jestem jaki znany rozpustnik!? — bronił się Petöffy — czyż nie mam sławy tak nienagannej, że każda matka bez skrupułów powierzyłaby mi córkę!? Czyż zresztą pani Waldau anielską czystością swojej osoby nie stoi ponad wszelkie podejrzenia?!

— Mości książę! — rzekł poważnie asesor — młodość wasza nie pozwala księciu widzieć wszystkich rzeczy we właściwym oświetleniu doświadczenia! Ludzie są źli, i chwytają się najlżejszych pozorów, by oczerniać!

— Czy pan mówi z polecenia pani Waldau? — spytał Petöffy niespokojnie.

— Nie — przyznał się Feldern — nie mówię w jej imieniu, ale w jej interesie.

Książę doznał wielkiej ulgi, słysząc to zaprzeczenie.

— Czy książę uznaje teraz moje racje i zaprzestanie bywać u Hortensji? — spytał Feldern.

— Skoro pani Hortensja sama nic przeciwko mym wizytom nie ma to nie uznaję racji pańskich obaw — odrzekł książę i ceremonialnie pożegnał się szybko, by uniknąć dalszej dyskusji.

Feldern pozostał sam, zły jak diabeł.

Chodziło mu nie tylko o dobrą sławę Hortensji.

Na samym dnie serca krył jeszcze nadzieję, że może kiedyś, gdy Leon się nie zgłosi, a śmierć jego będzie pewna, że może wtedy jego spotka nagroda za tyloletnie wysługiwanie się sercem i przyjaźnią.

Teraz w osobie księcia rósł mu groźny rywal.

Postanowił więc wszelkimi godziwymi środkami go zwalczać.

ROZDZIAŁ CCX.

Za uczciwą pracę skąpa płaca

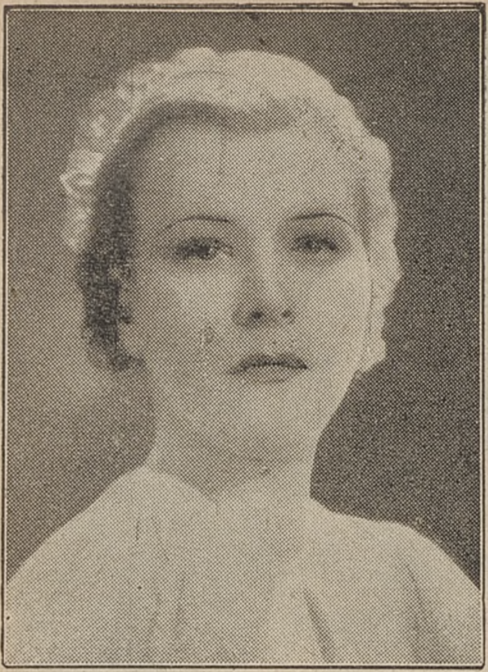
Proboszcz w Königswalden wiedział, że pani Herbert za pobyt w jego domu jest mu bardzo wdzięczna, ale odczuwa dotkliwie brak własnego gospodarstwa.

Wiedział też, że na razie ma pieniędzy na tyle, żeby sobie gospodarstwo, choć szczupłe zaprowadzić.

Toteż nie zatrzymywał jej, gdy pani Herbert pewnego dnia oświadczyła, że wybiera się na stałe do Petershagen; musiał raczej pochwalić ten zamiar, zwłaszcza, że chodziło jej przecie o to, aby być najbliżej męża.

Jedyne więc, co mógł zrobić, żeby ulżyć swemu sercu, to było to, że kazał śpiżarnię pani Herbert zaopatrzyć obficie ze swoich zapasów i dał błogosławieństwo Sylwii na daleką drogę.

Stosunek z Idą ułożył się w ten sposób, że ona miała uchodzić za siostrzenicę pani Herbert i kuzynkę Sylwii. Od chwili, kiedy



Onegdaj zmarła jedna z głośnych arystek filmowych Renata Müller. Pastelowa ta — jak łatwo nam stwierdzić — piękność zmarła w sanatorium berlińskim

tak postanowiono, mówiły sobie wszystkie trzy panie per ty.

W Petershagen przyjęła je pani Kudlich bardzo serdecznie i dowiedziawszy się, że chcą kupić meble i maszynę do szycia, aby nią zarabiać na życie, chciała im na zakupno pożyczyć pieniędzy. Gdy pani Herbert nie przyjęła, prosiła żeby jej przynajmniej wolno było starać się dla nich o robotę. Propozycję tę przyjęły panie z wdzięcznością.

Nazajutrz rano wybrały się po zakupy. Sprawiły sobie skromnie meble, którymi miały zastawić ciemne pokoiki na poddaszu u pani Kudlich i maszynę do szycia, która im miała dawać chleb.

I zaraz tego samego dnia zabrały się do roboty.

Pani Herbert i Sylwia urządzały mieszkanie, a Ida rozpakowała materiał na bieliznę, który dostała była jeszcze od doktora Silasa, przykroiła, zafastrygowała i zaczęła szyć.

Po południu wybrała się na wędrówkę po sklepach z bielizną.

Sklepów takich w Petershagen było cztery.

Właściciel pierwszego przyjął Idę bardzo uprzejmie.

W żakieciku, który sprawiła sobie za namową Sylwii zaraz pierwszego dnia pobytu w Petershagen i w kapelusiku wyglądała bardzo ładnie i prawie można powiedzieć elegancko. Ale uprzejmość kupca znikła nagle, gdy się dowiedział po co Ida przyszła. Przybrał ton protekcjonalny.

— Niechno pani pokaże, co umie! — rzekł i chciał ją pogłaskać po twarzy, ale ona zmierzyła go dumnym wzrokiem, tak, że mimowoli cofnął łapę.

Gdy Ida rozpakowywała pakuneczek, by mu pokazać próbkę swej roboty, wypytywał się, skąd ona przyjechała i u kogo mieszka.

Ida opowiedziała, że jest z Oberweidlingen pod Wiedniem i mieszka u swej ciotki, pani Herbert.

— Bardzo zacna pani! — rzekł kupiec, który się teraz zawstydził swej poprzedniej śmiałości, ale gdy zobaczył robotę Idy, rzekł bez wahania:

— O! proszę pani, taka robota, to nie dla mnie. Żeby tak wykończyć koszulę, trzeba cały dzień nad tym siedzieć. Moje pracownice tymczasém dostarczają mi sześć koszul dziennie.

— Ależ to niemożliwe! — zdumiała się Ida — jakaż to może być robota w takim pośpiechu!

— Mniejsza o to! — zaśmiał się kupiec — w handlu jest naszą dewizą, że wszystko jedno, jaki towar, byle był tani!

Mniej więcej taką samą odpowiedź dostała w drugim, trzecim i czwartym sklepie.

Zmęczona i zniechęcona wróciła do domu i dopiero Sylwia musiała ją pocieszać.

Uradowała się dopiero na drugi dzień rano, gdy pani Kudlich, dotrzymując przyrzeczenia, przyszła z ogromną paczką płótna i przyniosła jej od znajomych robotę.

Szeroko rozpowiadała, jak to jedna, którą prosiła o robotę dla Idy, chciała sobie u Idy pożyczyć formy do kroju, druga żądała, żeby jej Ida uszyła sukienkę dla lalki jej dziecka, a trzecia dopiero dała robotę i to dużo, bo przyrzekła u Idy szyć całą wyprawę dla swej córki.

Ida dziękowała jej ze wzruszeniem i natychmiast zasiadła do pracy.

Ida kroiła, a pani Herbert zszywała na maszynie.

Sylwia wyszła do miasta i usiłowała uzyskać pozwolenie zobaczenia się z ojcem.

Dozorca jednak nie chciał jej puścić, a inspektor więzień na jej wzruszające prośby odpowiedział krótko i węzłowato:

— Pan baron Sturmfeder był tak łaskaw i zwrócił mi uwagę na to, że takie widywanie się więźniów z krewnymi sprowadza tylko niepotrzebne zawikłania.

Wiedziała teraz Sylwia, komu ma zawdzięczać to, że nie mogła się nawet rozmówić z ojcem.

Wróciwszy do domu zastała pieniądze od Moszka. Poczciwy żyd pisał, że nie może osobiście się zjawić, lecz życzy jej szczęśliwej drogi, powodzenia i rychłego powrotu.

Sylwia była do łez poruszona serdecznością i delikatnością tego starego poczciwca i przysięgła, że mu się odwdzięczy i honorowe miejsce zarezerwuje mu w swoim domu, gdy jej Bóg pozwoli założyć szczęśliwe ognisko domowe.

Udała się potem do komisariatu policji po paszport.

— A czy pani już pełnoletnia? — spytał urzędnik policyjny.

— Nie, odpowiedziała Sylwia zgodnie z prawdą.

— W takim razie musi mi pani wykazać się pozwoleniem ojca, rzekł na to urzędnik.

— Ależ ja nie mogę się dostać do ojca! Nie chcą mnie puścić! — zawołała Sylwia ze łzami w oczach.

— Proszę się udać do ojca pisemnie — poradził sucho komisarz.

Sylwia musiała się zastosować do tej rady.

Pieniądze na podróż miała i po przezwyciężeniu tej ostatniej trudności miała się puścić w drogę. Czy na tej drodze czekało ją szczęście, czy zguba? Czy było jej przeznaczone uratować narzeczonego i ojca, czy też samej paść ofiarą swego złego demona, barona Sturmfedera?

ROZDZIAŁ CCXI

Czy on mi przebaczy?

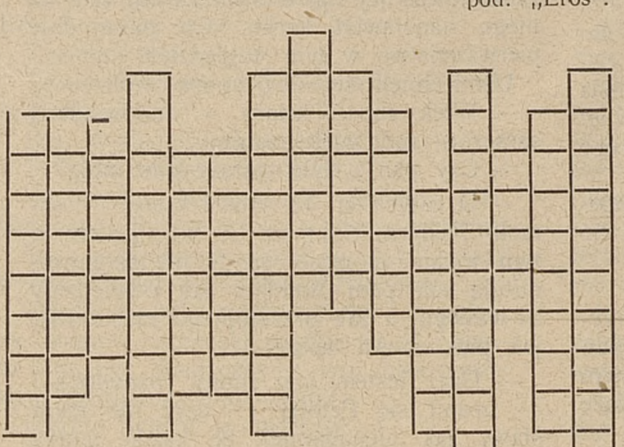
Przez całą noc Zuzia wiła się wśród okropnych boleści.

Lekarz zwątpił, czy mu się uda chorą utrzymać przy życiu, ale robił, co do niego należało, posyłał po lekarstwa i doglądał chorą.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF ZNANYCH POLAKÓW
pod. „Eros".



W pola wpisać pionowo nazwiska znanych, sławnych lub zasłużonych Polaków. Czwarty od góry, a piąty od dołu rząd poziomy da nazwisko jeszcze jednego sławnego na cały świat uczonego.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 27 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 42 „Moich Powieści": Konikówka:

Na co dawać ludziom rady?
Mądry jej nie potrzebuje,
A głupi i tak nie usłucha.

Domyślanka: „Uczmy się szanować małe godziny życia, bo z nich urastają dni i lata. (Maeterlinck).

Trafne rozwiązania nadesłali p. p: Słupska Lidia — Nielbark, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Namysłówna Pelagia — Uciechów, Zdrochowicz Gerard — Tczew, Jacyna Artur — Warszawa, Góral Wacław — Katowice, Dąbrowska Lucyna — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jacynie z Warszawy i Dąbrowskiej z Poznania.

REBUSIKI

Baw/ki; wienie/sta; nie ka; ka/pa

ka/da ka/rek pa/ma wa/mo wie/czorek

ca/zor la/sie baw/ka sarz/komi

ADAM CZEKALSKI

4)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

W pół godziny później przybył doktór Mazurkiewicz i obejrzawszy pokryte sińcami plecy Lili, napisał na kartce receptę i wysłał zaraz służącą do apteki. Poczem, chodząc szerokimi krokami po pokoju, kręcił głową i mruczał coś do siebie, jak gdyby zastanawiał się nad całą tą sprawą i próbował ją rozwikłać. W końcu usiadł przy łóżku i wziąwszy Lilę za rękę, rzekł łagodnie:

— Jakże się pani czuje, dziecko? Czy rany bardzo bolą?

— Teraz mniej — odszepnęła słabym głosem Lila — znacznie mniej.

— To dobrze, to bardzo dobrze... A — czy pani mogłaby mi odpowiedzieć na niektóre pytania?

— Proszę, niech pan pyta...

Doktor zadumał się na chwilę, przymknął do połowy powiekami swoje spłowiałe siwe oczy i następnie odezwał się:

— Proszę mi powiedzieć, co to wszystko znaczy? Kto panią tak brutalnie pobił?

— Nie wiem.

— Więc nie zna pani człowieka, który przyszedł do pani pokoju i tak okrutnie wysmagał ją batem?

— Ja nie widziałam żadnego człowieka tutaj, doktorze.

— Nie rozumiem... nie widziała pani żadnego człowieka? Więc któż tak bestialsko obszedł się z panią, Lilu?

— Nie wiem, doktorze, proszę mi wierzyć, że ja naprawdę nic nie wiem.

— Niechże mi pani nie opowiada takich banialuków niepodobnych do wiary! Przecież to widoczne, że została pani napadnięta przez jakiegoś zbrodniarza, przez jakiegoś zboczeńca, który dopuścił się na tobie tak sromotnego gwałtu.

— To prawda, wszystko za tym przemawia, ale ja nic nie potrafię powiedzieć, jak się to stało i ktoby to mógł być.

Doktor poruszył się niespokojnie na miejscu i wziął dla zbadania rękę Lili.

— Puls normalny — rzekł następnie jakby do siebie — gorączki nie ma, a jednak zdajesz się gorączkować, moje dziecko.

Pani Ewa skinęła na lekarza i oboje oddalili się od łóżka, rozmawiając szeptem na temat całego tego wypadku dzisiejszego.

— To już po raz wtóry mamy taki straszny wypadek — szeptała pani Krupińska.

— Jak to? Drugi wypadek takiego maltretowania? — zdziwił się lekarz. — I czemuż nie dałyście panie znać władzom, czemu nie wszczęłyście śledztwa? Przecież takiego gwałtu nie wolno puszczać płazem.

— Proszę mnie wysłuchać, doktorze, i rozważyć rzecz całą według swojego rozumu: Pierwszym razem Lila została obsypana czułościami, a następnie omal nie uduszona w tym samym pokoju. Odciski palców na szyi sama u niej widziałam. Co najciekawsze, że drzwi te oto, łączące nasze sypialnie, były zamknięte w tym momencie na klucz, chociaż drzwi te od niepamiętnych czasów nigdy zamykanymi nie były. Klucz gdzieś zginął. Kiedy Lila zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy, próbowałam dostać się do niej tymi właśnie drzwiami i wtedy stwierdziłam, że są zamknięte. Chcąc jednak dostać się do córki, przebiegłam całe mieszkanie drogą przez kuchnię i wtedy zobaczyłam ją leżącą na podłodze bez życia, a na jej szyi odciski palców, jakby po duszeniu. Przerażona, otworzyłam okno i zaczęłam wzywać pomocy. Jakoż niebawem zjawił się policjant, który przyprowadził z sobą doktora Borowicza...

— Borowicza? Cóż to znowu za nowy lekarz w Łodzi? — zdziwił się stary Mazurkiewicz. — Nigdy dotąd nie słyszałem o istnieniu w naszym mieście podobnego doktora. To ciekawe... Ale proszę mówić dalej... Więc przyszedł ów „lekarz" Borowicz...

— Tak, przyszedł ów Borowicz i podczas, gdy ja rozmawiałam o całym wypadku z policjantem, on zajął się córką i w ciągu paru minut zupełnie usunął ślady duszenia z szyi.

— Niemożliwe!

— Zapewniam pana, doktorze, że bynajmniej się nie mylę, ani uległam wtedy złudzeniu. Toż zarówno ja sama, jak policjant i moja służąca wszyscy dokładnie widzieliśmy ślady duszenia, a gdy Borowicz zwizytował córkę i przywołał nas do niej — ślady zniknęły.

— I jakichże zabiegów dokonał ów cudotwórca? — spytał ironicznie lekarz.

— Nie wiem — odrzekła krótko pani Ewa. — Zajęta rozmową z policjantem, nie byłam świadkiem owych zabiegów.

Mazurkiewicz pokręcił niedowierzająco głową, a następnie zadumał się, powtarzając raz po raz pod nosem: „Borowicz, Borowicz..."

— To wszystko zakrawa na bajkę z tysiąca jednej nocy — rzekł następnie głośno — i proszę mi wierzyć, kochana pani Ewo, że nie ma w blisko milionowej Łodzi ani jednego tak naiwnego człowieka, któryby w opowiadanie to uwierzył.



Kobieta - wąż, reklamująca na londyńskiej wystawie wyroby ze skóry wężowej

— A jednak ja wierzę, doktorze.

— W co mianowicie?

— Że Borowicz w jakiś tajemniczy sposób usunął ślady duszenia z szyi mojej córki.

— W ciągu paru minut?

— Tak.

— Żart na stronę, kochana pani Ewo, ale czy pani wierzy w cuda medyczne w dwudziestym wieku? Czy pani się zdaje, że wystarczy przyjść do chorego, spojrzeć na obolałe miejsce, wykonać taki czy inny hokus-pokus i już po chorobie?

— Nie, w cuda medyczne nie bardzo wierzę, chociaż nie znam się prawie wcale na medycynie, ale muszę uwierzyć w eksperyment, którego prawie na moich oczach dokonał Borowicz.

— Borowicz, Borowicz — odrzekł drwiąco Mazurkiewicz. — Po wojnie światowej namnożyło się na całym świecie tylu najrozmaitszych cudotwórców, nazywających siebie „wtajemniczonymi", „magami", „profesorami" światowej sławy, że wcale nie zdziwiłbym się, gdyby ów Borowicz był jednym z takich kombinatorów, żerujących na naiwności ludzkiej. Tak czy owak jednak, musi pani powiadomić władze o całym wypadku, a ja zajmę się sprawdzeniem tożsamości imć pana Borowicza, owego tajemniczego „profesora wszechnauk lekarskich". Kto wie, czego możemy dowiedzieć się jeszcze przy bliższym zajrzeniu w prywatne życie tego jegomości.

— Przypominam sobie właśnie w tej chwili, że policjant, który przybył poprzedniego dnia krytycznego na mój krzyk o pomoc, obiecywał złożyć raport swoim władzom o wypadku, ale jak dotąd nikt u mnie się nie zjawił z policji.

— Może nie przywiązują nadzwyczajnej wagi do całej sprawy? — odrzekł na to stary lekarz. — A może też być i tak, że policja zajęta jest prowadzeniem dochodzenia w jakiejś pilniejszej sprawie „ślepego Maksa" czy innej bandy gangsterów wielkomiejskich. Tak czy owak jednak postaram się skomunikować telefonicznie z komisarzem Krajewskim i dowiedzieć, czy meldunek taki wpłynął istotnie do komisariatu.

— A cóż pan doktor myśli o całej tej zagadkowej i przerażającej mnie napaści? Jak ją tłumaczy? — spytała pani Ewa, pełna wciąż niepokoju o jedyne swoje dziecko, o jedyną pociechę, jaka jej została po stracie męża.

— Cóż tu myśleć, łaskawa dobrodziejko? Ja w cuda i rozmaite wydarzenia baśniowe nie wierzę. Ale gdy pani pyta o to, co ja o całym wydarzeniu myślę, powiem to, do czego upoważnia mnie moja wiedza: Pani córka jest prześladowana przez jakiegoś zboczeńca, który ją maltretuje. Zagrażana nieustannie nowymi plagami, nie chce, bo się lęka, wyznać prawdy. To i wszystko, jeśli o jedną stronę medalu chodzi. Druga strona znowu przedstawia się tak: być bardzo może, że histeria odgrywa tutaj również znaczną rolę.

— Ja w to nigdy nie uwierzę, bo i sam pan nie wierzy w ową histerię również, doktorze. Oboje znamy pod względem zdrowia Lilę prawie jednakowo: ja jako matka, pan zaś, jako jej lekarz. I wiemy doskonale, że nie zdradzała ona nigdy dotąd najmniejszych jakichś zboczeń psychicznych. Skoro tedy przez dwadzieścia kilka lat nie dostrzegaliśmy u niej najmniejszego



W Ameryce zbudowano „miasto — model", które ma służyć dla celów doświadczalnych i rozwiązać najtrudniejsze zagadnienia obecnej urbanistyki

śladu histerii, skądże ona wzięłaby się nagle teraz.

— Wywód słuszny, ale nie zupełnie przekonywujący. Lecz mniejsza o niego; proszę mi tedy wypowiedzieć swoją opinię na ten temat.

— W tych napaściach na moją córkę odgrywa rolę jakaś tajemnicza, groźna a nieznana nam dotąd ręka.

— Dalej.

— Jakiś wróg czyha na nas i wróg ten w sposób zgoła nam nieznany prześladuje Lilę, znęca się nad nią, katuje ją, a sam wciąż jest niewidzialny.

Stary Mazurkiewicz parsknął śmiechem.

— Doskonała bajka o czapce niewidce. Jest pani zatem zdania, kochana pani Ewo, że jakiś ktoś przywdział na się czapkę niewidkę i używa sobie dowoli, nie będąc ani widzialnym, ani uchwytnym. Doskonała historia — śmiał się doktor. — Kiedyś czytałem znakomitą nowelę Conan Doyle'a na ten temat, ale nowela takiego fantasty literackiego jak ten Anglik, a rzeczywistość nasza powszednia łódzka, to dwie kolosalne różnice. Conan Doyle opowiada w tej noweli, że pewien lekarz zdobył archeologiczny przedmiot, który nie miał żadnego odpowiednika w rzeczach powszechnie dzisiaj używanych przez ludzi. Wierzył jednak, że przedmiot ten jest związany z jakąś dawną i bardzo starą tragiczną historią. I zdarzyło się raz, że do owego doktora przybył w gościnę kolega sceptyk, który nie tylko nie podzielił jego mniemania, gdy mu przedmiot ów pokazał, ale go jeszcze wydrwił. Wtedy lekarz zrobił taki eksperyment: pod poduszkę przyjaciela wsadził ów tajemniczy przedmiot, a kiedy gość zasnął, miał straszliwy sen: widział mianowicie torturowanie pięknej kobiety z wieku trzynastego przy pomocy właśnie tego tajemniczego przedmiotu. Dzięki temu snowi, jak chce Doyle, sprawa przedmiotu i sposobu jego użycia całkowicie się wyjaśniła.

— Nie przypuszczam w naszym wypadku żadnej zaświatowości, ale... wierzę, iż w tym wszystkim coś musi być takiego, czego, przynajmniej na razie, zrozumieć i rozwikłać nie jesteśmy w stanie.

— Zaręczam pani, że policja nasza rozwikływała daleko trudniejsze tajemnice. Dlatego najmocniej wierzę, że i ten wypadek znajdzie w jej rękach rozwiązanie.

— Oby proroczymi były słowa pańskie, doktorze.

— Przekona się pani, że mam rację.

Rozmowę przerwało wejście służącej, powracającej z apteki z lekami. Doktor zabrał się natychmiast do założenia bandażów na poranionych plecach Lili, ale jakież było jego ogromne zdziwienie, gdy zbliżywszy się do chorej i obnażywszy jej plecy, zobaczył brak jakiegokolwiek śladu poranienia.

— W imię Ojca i Syna!... — zawołał z przejęciem. — Czy mnie czart za nos wodzi?

— Co się stało doktorze? — wyszeptała strwożonym głosem pani Ewa, pochylając się nad łóżkiem.

— Patrz pani! — wskazał lekarz plecy chorej. — Rany... zniknęły.

— Istotnie... Co to wszystko znaczy?

— I ja o to samo mógłbym zapytać, bo również nie umiem wytłumaczyć sobie tego. Chyba my wszyscy tutaj ulegamy zbiorowej halucynacji, inaczej i być nie może. Toż ja dokładnie pamiętam, że ślady ran bardzo bolesnych były, widziałem je przecież na własne oczy, dotykałem ich własnymi rękami, widziała je pani, widziały je dziewczęta służące. I nagle... Nie, to przechodzi imaginację ludzką.

— Wierzy pan teraz, doktorze?

— Wierzę, nie wierzę — obruszył się lekarz — tu nie o to chodzi, ale o stwierdzenie przyczyny tych zjawisk. Naturalnie, w jakieś tam cudowności nie uwierzę nigdy, ale muszę uwierzyć w prawdziwość tych zjawisk, chociaż chwilowo nie potrafię ich wytłumaczyć. Czyżby zachodził tym razem osobliwy wypadek stygmatyzmu? Ale w takiej formie? O czymś podobnym nie słyszałem nigdy dotąd.

— To wszystko mnie przeraża — wyszeptała zalękłym głosem pani Ewa — przeraża mnie tym więcej, że chodzi tu o cierpienia jedynego dziecka, a ja nie znajduję żadnego sposobu ratowania jej przed tymi prześladowaniami.

— Kiedy zdarzył się poprzedni wypadek? — zapytał naraz Mazurkiewicz?

— Ubiegłego piątku około trzeciej godziny rano.

— A dzisiaj — mamy także piątek, godzina... — lecz spojrzał na zegarek — po dwunastej... Czyżby to był zwykły przypadek, zwykły zbieg okoliczności?

Lekarz przeszedł się w zadumie raz i drugi przez pokój, następnie zatrzymał się naraz przed panią Ewą i rzekł:

— Musimy Lilę zabrać do lecznicy i przeprowadzić obserwacje. Jednocześnie, na wszelki wypadek, dać znać policji. Niechaj zajmuje się ona tym wszystkim, niech zbada to wszystko, co uzna za potrzebne, a wtedy zobaczymy.

Pani Ewa chciała coś rzec, gdy naraz w przedpokoju ozwał się dzwonek telefonu. Oboje starsi państwo spojrzeli zdumionymi wzrokami na siebie, lekarz zerknął na tarczę zegara, stojącego na konsoli.

— Proszę pani, telefon — przerwała milczenie pokojowa.

— Idź zobacz, kto dzwoni.

Służąca poszła do przedpokoju i po chwili rozległ się jej głos:

— Pan porucznik Stadnicki.

Lila usiadła szybko na łóżku.

— Pozwól mamo — rzekła z radością w głosie, że ja sama porozmawiam z Jurkiem — i zakręciwszy się we wzorzysty szlafroczek poszła szybko do telefonu.

Zaledwie przytknęła słuchawkę do ucha, gdy w rezonatorze ozwał się dźwięczny i tak bardzo kochany głos Jerzego.

— To ty, Liluś?

— Tak, ja, czy stało się co złego, że dzwonisz o tak późnej godzinie?

— To właściwie ja powinienem zapytać, co znaczy to nagłe wezwanie telegraficzne? Czy jesteś chora, czy może pani mamusia jest cierpiąca? Mów mi, bo ja tu ze skóry poprostu wychodzę.

— Wezwanie telegraficzne? Nic nie rozumiem. Ja nie nadawałam wcale do ciebie depeszy.

— Nie nadawałaś depeszy? Ale przecież ja mam ją przy sobie i zaraz ci ją mogę odczytać. — I porucznik, nie czekając na zezwolenie, powtórzył słowa telegramu:

Przyjedź natychmiast. Jesteś konieczny. Lila".

— To dziwne doprawdy, bo ja wcale nie nadawałam takiej depeszy — odrzekła w tubę telefoniczną Lila. — Ale może to mama, poczekaj sekundę, zaraz się dowiem.

Lila uchyliła drzwi do pokoju i przywołała matkę.

— Czy ty nadawałaś jaką depeszę do Jurka, mamo? — zapytała.

— Depeszę do Jurka? Nie, nie nadawałam żadnej depeszy.

Zdumiona ogromnie i zaniepokojona już Lila znowu zwróciła się do mikrofonu.

— Nie, kochany Juruś, mama również nie nadawała żadnej depeszy.

— Teraz, to znowu ja nic nie pojmuję, bo przecież tę depeszę mam przy sobie i każdej chwili mogę ci ją pokazać, gdy tylko ten przeklęty pociąg nadejdzie i będę mógł ruszyć się stąd.

— Juruś, to nie z Warszawy mówisz?

— Ale gdzież tam, siedzę od dwóch godzin w Kutnie i zapewne jeszcze ze dwie

godziny przyjdzie mi tu siedzieć, jak na pokucie.

— Biednyś ty, mój chłopczyku!

— Liluś, jak się czujesz? Czyś zdrowa?

— Ach, nie zupełnie, ale opowiem ci wszystko dokładnie, gdy wreszcie przyjedziesz, tak dawno cię nie widziałam... A może dostałbyś taksówkę i nią przyjechał do Łodzi?

— Taksówka w Kutnie? Nie, serdeńko, w Kutnie nie ma taksówek. A gdyby nawet były, to i tak o tej godzinie pewnie nie dostałbym jej, bo obywatele kutneńscy zbyt porządnie się prowadzą, aby po północy, choćby nawet w okresie karnawału, nie spać.

— No, to dowidzenia, chłopczyku najmilszy.

— Łapiątka kochane całuję.

Lila położyła słuchawkę na widełkach i chwilę stała na miejscu, zastanawiając się nad co tylko otrzymaną wiadomością od od Jurka. Uderzyło ją najbardziej to, komu zależało na wprowadzeniu Jurka w błąd, na wysłaniu depeszy, ażeby natychmiast przyjechał.

— Czy cię to nie intryguje, mamo? — zapytała Lila, wchodząc do pokoju, w którym czekali na nią oboje starsi państwo.

— Co mianowicie?

— No, ta wiadomość Jurka, że dostał dzisiaj depeszę, niby ode mnie, wzywającą go do natychmiastowego przyjazdu.

— To ciekawe, kto wpadł na tak niedowcipny i złośliwy pomysł.

— A może jednak wysłała pani taką depeszę? — zapytał lekarz.

— Nic podobnego — zaprzeczyła stanowczo Lila. — Doskonale zdaję sobie przecież sprawę z moich kroków i gdybym istotnie wysłała depeszę, pamiętałabym o tym, no i, nie miałabym przecież powodu zapierania się tego.

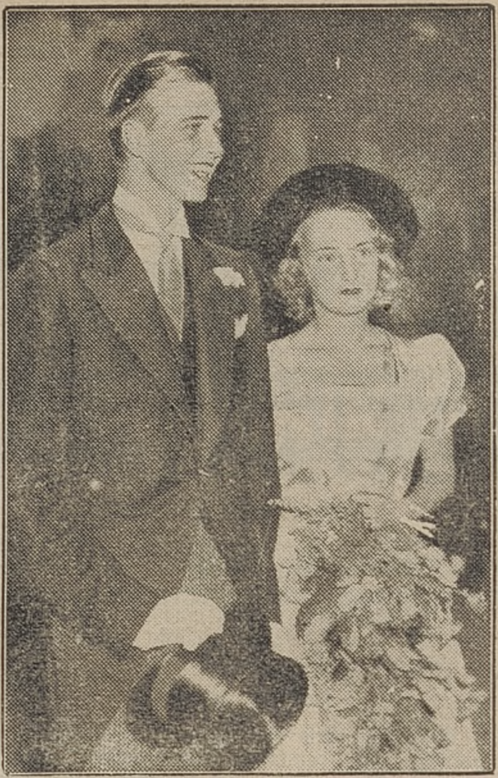
Lekarz pokiwał głową, spojrzał na zegarek i pożegnawszy obie panie, odszedł. Obie panie siedziały czas jakiś jeszcze, rozważając wszystkie wypadki, tak dziwne i wprost niesamowite, jakich były ofiarami od tygodnia, poczem poszły na dobrze zasłużony odpoczynek, ale tym razem do jednego pokoju pani Ewy.

V

KTO NADAŁ DEPESZĘ?

Porucznik lotnictwa Jerzy Stadnicki zajmował w szefostwie aeronautyki odpowiedzialne stanowisko najzdolniejszego konstruktora - inżyniera z dyplomami politechniki krajowej i zagranicznej, a chociaż młody zarówno wiekiem, jak i rangą, przecież miał bardzo poważny głos w sprawach lotnictwa wojskowego. Jego samolot bombowy, duma polskiego lotnictwa, stanowił najlepszą konstrukcję ze wszystkich tego rodzaju jednostek bojowych nawet najbardziej rozbudowanego lotnictwa światowego. Słusznie też władze polskie strzegły tajemnicy budowy tego bombowca bardzo pieczołowicie, a dla konstruktora Stadnickiego miały duże uznanie.

Tego dnia porucznik siedział nad szkicami najnowszych samolotów pościgowych, długoletniej pracy swojego kolegi i przyjaciela, który plany te przesłał do szefostwa dla przejrzenia i aprobaty, gdy zadźwięczał dzwonek telefonu na biurku, a



Jan Roosevelt, najmłodszy syn prezydenta U. S. A., wstąpił za przykładem swego starszego brata również w związek małżeński

w mikrofonie odezwał się głos pułkownika Grodeckiego.

— Rozkaz, panie pułkowniku — odrzekł po wysłuchaniu pułkownika porucznik i zapakowawszy szkice do wielkiej koperty, zalakował ją i schował do wielkiej szafy ogniotrwałej, poczem udał się do gabinetu swego szefa.

— Usiądź pan — wskazał pułkownik krzesło porucznikowi i posłuchaj, co tu znowu piszą.

Porucznik spełnił rozkaz i przygotował się do wysłuchania nudnego zapewne odczytywania artykułu o jakiejś nowej aferze szpiegowskiej zagranicą. Takie wtajemniczanie swoich podkomendnych we wszelkiego rodzaju szczegóły prasowe afer szpiegowskich było maleńkim bzikiem pułkownika, znanym powszechnie prawie wszystkim jego podwładnym.

— Słucham pana pułkownika.

— Znowu ciekawa afera w Havrze — odezwał się pułkownik, podsuwając Jurkowi etui z papierosami. — Ale tym razem afera ta ma ciekawsze niż wszelkie inne podłoże. To już nie zwykłe wykradzenie planów przy takiej czy innej pomocy, to już nie wciągnięcie w grę kogoś ze słabszych oficerów marynarki, ale afera par excellence światowego pokroju.

Porucznik siedział obojętnie, chociaż starał się okazać zaciekawienie i skupienie i gotów był w tej chwili wysłuchać całej nawet litanii skarg i wyrzekań na temat działalności obcego wywiadu. W ciągu paroletniej współpracy z pułkownikiem tak już był przywykł do jego bzika, że nigdy się na niego za to nie obrażał.

Tym razem jednak zwykły przypadek uwolnił go od wysłuchania długiego tasiemca dziennikarskiego. Oto w chwili, gdy pan pułkownik, rozłożywszy „Paris Soir" na biurku, rozpoczął odczytywanie tytułów ogromnego artykułu sprawozdawczego, operującego w zasadzie samymi ogólnikami, wszedł żołnierz i zameldował, że do pana porucznika Stadnickiego jest depesza z Łodzi.

— Depesza z Łodzi? — zdziwił się, gdyż dawno już temu umówili się byli z Lilą, że nigdy nie będą porozumiewali się przy pomocy depesz.

Stadnicki odebrał depeszę od żołnierza i schował ją do kieszeni.

— Może to co ważnego — zwrócił uwagę pułkownik — przeczytaj ją pan.

Jurek otworzył ćwiartkę papieru i przeczytał pół głosem: „Przyjedź natychmiast. Jesteś konieczny. Lila". Coś złego tknęło go. Co może oznaczać ten telegram? — przemknęło mu przez myśl. Przecież Lila nigdy dotąd, jak znamy się prawie lat dwadzieścia — nie używała tej drogi korespondencji.

— Ot i widzisz pan — odezwał się pułkownik. — Wzywają pana, sprawa snać i pilna i ważna.

— Istotnie... W związku z tą depeszą pozwalam sobie prosić pana pułkownika o parę dni urlopu.

— Ile?

— Siedem.

— Dobrze. Może pan jechać i proszę bawić się wesoło w polskim Manchesterze. Nu, ale tym razem z naszego odczytania nic nie wyszło. Zabierz pan jednak dziennik do pociągu i przeczytaj sobie w wagonie tę sprawę. Wiem, że niektóre fakty uderzą cię tak samo jak mnie, bo taka sprawa nie zdarza się codziennie. Chociaż tam panowie dziennikarze piszą w tym sprawozdaniu tak, aby nikt niczego się nie dowiedział, ale to, co dla laików ukryte, nie będzie tajemnicą dla fachowca.

— Dziękuję panu pułkownikowi.

— Tak, — powstał pułkownik. — Ale pamiętaj pan dobrze ukryć plany inżyniera Kosibowicza, a klucze od kasy mnie przynieś.

— Rozkaz panie pułkowniku.

— Nu, do widzenia, do widzenia za tydzień... Dokument prześlę panu przez ordynansa.

Stadnicki skłonił się i odszedł do swojego pokoju. Raz jeszcze sprawdził, czy ogniotrwała kasa, w której zamknął cenne wykresy, należycie bezpieczna, obmacał spróbował drzwi, poczem odniósł klucze pułkownikowi i otrzymawszy odeń dokumenty podróżne, ubrał się i wyszedł na ulicę.

Była godzina przedpołudniowa. Ulice pełne ludzi, wiosennie prawie ubranych, bo tegoroczny styczeń podobniejszy był raczej do marca, tak było ciepło i łagodnie w powietrzu. Stadnicki szedł wolno w stronę swojego mieszkania, zastanawiając się nieustannie nad tym, co się tam w Łodzi mogło stać, że raptem otrzymał depeszę tak lakoniczną, tak nic, a zarazem i tak wiele mówiącą? Obawiał się, że może wydarzyło się jakie nieszczęście, może Lila chora, może to, może tamto... Mógł wprawdzie zatelefonować do łodzi i dowiedzieć się przyczyny, ale skoro już otrzymał urlop, pojedzie tam osobiście.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 24 października 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Regionalna transmisja z Przemyśla; 12.03 Poranek symfoniczny z sali Starego Teatru w Krakowie; 13.10 „Co się dzieje w Sulkowie" — fragment z książki; 13.30 Koncert rozrywkowy ze Lwowa; 14.45 Audycja dla wsi; 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci; 16.05 „Anielcia i życie" — powieść mówiona; 16.— Podwieczorek przy mikrofonie; 17.00 Światowy koncert z Indyj Holenderskich; 19.00 Słuchowisko „Szkatułka babuni" według noweli Prusa; 19.35 Słynni wirtuozi — II audycja; 21.15 „Wesoły wieczór w Przemyślu"; 22.00 opowieść o Mozarcie.

Poniedziałek, dnia 25 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Od warsztatu do warsztatu: „W pracowni sukien"; 15.45 „Z pieśnią po kraju"; 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.; 17.00 Zwycięzca ospy — odczyt; 17.15 Recital fortepianowy Teofany Daneff; 18.10 Pieśniarze murzyńscy (płyty); 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 Audycja strzelecka; 19.30 „Dyskutujmy — Gwiazdy filmowe"; 20.00 Koncert rozrywkowy; 21.55 I. audycja z cyklu „Arcydzieła muzyki symfonicznej".

Wtorek, dnia 26 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Aleksander Luigini: Muzyka baletowa; 15.45 Przy kominku: „Gdy na dworze wicher wieje" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Koncert mandolinistów „Kaskada" 17.00 z Tarvisio do Rzymu — reportaż 17.50 Hipopotam — pogadanka 18.25 Muzyka (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór II „Herodot" 19.30 Audycja konkursowa 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Marynarki Wojennej 21.00 Koncert symfoniczny w wyk. Ork. m. Poznania 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

Środa, dnia 27 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Georges Bizet: Fragmenty z op. „Carmen" 16.00 „Uczmy się mówić" — audycja w oprac. dyr. Teofila Trzcińskiego 16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa; 17.00 „Legioniści na włoskim froncie" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Ławnik w sądzie pracy — pogadanka 18.10 Saksofon solo i w zespole (płyty); 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Wyjazd Agnieszki" — epizod z powieści 19.20 Koncert chóru męskiego „Echo" 19.35 „Śladami myśli prof. K. Twardowskiego" — odczyt 20.00 Melodie Monmartre'u — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Koncert popularny.

Czwartek, dnia 28 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Poranek szkolny dla liceów: „Suita" 11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata G-Dur op. 30 (płyty) 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Muzyka salonowa 17.00 „Wiedza i książka: Kartezjusz" — odczyty 17.15 Koncert solistów 18.25 Muzyka (płyty) 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko pt. „Bosman Kleń" 19.35 Duety w wykonaniu Ireny Gadejskiej i J. Hupertowej 20.00 „Clivia" — operetka Dostala w 3 aktach 21.45 „Walka o własne słowo" (z cyklu „Z mojego warsztatu") 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 29 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Utwory fortepianowe Roberta Schumanna (płyty) 15.45 „Jak pracują nasze mamy" — „Mamusia w domu" 16.15 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej 17.00 „Kooperatystyka angielska" — pogadanka 17.15 Ferruccio Benvenuto Busoni: Sonata na skrzypce 18.10 Sentymentalne piosenki (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Fragment słuchowiskowy „Napoleon" 19.30 Mandolina i banjo — duety 20.00 „Don Juan" — opera Mozarta — w przerwie II z „Don Juana" Byrona — recytacja.

Sobota, dnia 30 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Legendy (płyty) 15.45 Słuchowisko dla dzieci „O Janku co psom szył buty" 16.15 Fantazje na tematy znanych pieśni w wyk. Ork. Hermana 17.00 „Jak Król Jegomość podróżował po Pińszczyźnie i zwiedzał Kanał Ogińskiego" — odczyt 17.15 „Od Aten do Bayreuth" II cz. „Monteverdi" 18.15 Coleridge-Taylor: Cztery walce charakterystyczne 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranica 20.00 „Raz — to mało" — najładniejsze melodie z października 21.45 „Po amerykańsku" — skecz 22.00 Koncert popularny.

HUMOR

DOWCIPNE ŻĄDANIE

— Czy tu u panów jest biuro tłumaczeń?

— Tak jest. Czym możemy panu dobrodziejowi służyć?

— Prosiłbym o wytłumaczynie mojej żonie, że przy obecnym zastoju trudno myśleć o nowym kapeluszu.

DOBRY KAWAŁ

Podróżny idzie ciemną nocą w nieznanej mu okolicy. Na rozstaju dróg zauważa słup z tablicą. W nadziei, że to jest drogowskaz, chce przeczytać, co tam jest napisane. Nie mogąc tego zrobić przy świetle zapałki, postanawia wdrapać się na słup. Kiedy mu się to po wielu wysiłkach udaje, odczytuje napis:

„Ostrożnie! Świeżo malowane".

ZNALAZŁ SZYBKĄ ODPOWIEDŹ

W pokoju, przyległym do gabinetu szefa, pracownicy grają w karty.

Szef: Co tam za hałas? Panie buchalterze, co pan tam robisz?

Buchalter: Właśnie wychodzę w piki.

KUPIECKI SPRYT

W wielkim magazynie klient po długim namyśle wybiera parę rękawiczek i pyta o cenę.

— Te rękawiczki kosztują 15 złotych.

— Szkoda, bo mam przy sobie tylko 10 złotych.

— Nic nie szkodzi — mówi właściciel — jutro mi pan zwróci tych pięć złotych.

Po wyjściu klienta żona robi właścicielowi sklepu wymówki.

— Przecież on tu już nie przyjdzie!

— Nie obawiaj się moja droga — uspokaja mąż — on jutro na pewno wróci. Ja mu dałem dwie rękawiczki z lewej ręki...

Przydało by się!

— Ach, gdybym był wstąpił w ślady mego ojca, nie byłbym dzisiaj tu!

— Ojciec przestrzegał pana, rzecz prosta, przed popełnieniem tego czynu.

— E, to to nie, tylko on jest mistrzem świata w biegach.

ROBI COŚ PRĘDKO.

Szef: Jest pan doprawdy strasznie powolny w robocie. Czy nie ma rzeczy, którąby pan potrafił robić prędko?

— Owszem, prędko się męczę, panie szefie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

To szczególne!... — mówi terminator szewski — jak czeladnik chory, to się nazywa że pijany, a jak majster pijany, to się nazywa, że chory.

OBLICZYŁ...

— Co kosztuje to ubranie?

— A czy pan płaci gotówką, czy na raty?

— Jaka jest różnica?

— Gotówką kosztuje pięćdziesitą złotych, a na raty sto. Przyczym połowa płatna gotówką zaraz.

UDAŁO MU SIĘ!

Zaliwajski lubi opowiadać przy każdej okazji o swych przeżyciach wojennych. — Ktoś znający jego słabostki pyta go pewnego razu:

— I cóż, drogi panie, jakże tam było na wojnie?

— Okropnie, powiadam Panu! Wieczorem kładł się człowiek zdrowy, a nazajutrz budził się zabity przez nieprzyjaciela.

POTRZEBNY PREZENT

— Zerwałam z narzeczonym.

— Dlaczego?

— Jest zanadto niedomyślny.

— Jakto?

— Wczoraj. były moje imieniny. Zapytał mnie, co bym chciała, aby mi kupił w prezencie. Powiedziałam, żeby mi przyniósł coś na szyję.

— No i co ci kupił?

— Kawałek mydła!

EPOKA

— Panie Geldfresser! Pan jesz szynkę? W przeszłym jeszcze roku nie jadłeś pan „tego" wcale...

— Mój panie! Pan potrzebujesz mi nie wytykać moje... przedchrześcijańskie epoke.

ERUDYCJA

(Rzecz dzieje się w kółku dyplomatów)

Hrabia Alfons: — Jakto się stało właściwie że ten Kolumb odkrył Amerykę?

Hrabia Alfred: — Prosta rzecz, chciał się dostać do Indyj.

Hrabia Alfons: — No tak... ale... czegóż ten idiota nie płynął przez tego... przez kanał Sueski?

OSIEŁ W KOSTIUMIE KĄPIELOWYM

Morycek poszedł z ojcem do ogrodu zoologicznego, gdzie po raz pierwszy zobaczył żebrę.

— Patrz tatusiu — woła — Tam za ogrodzeniem chodzi osieł w kostiumie kąpielowym.

PEWNOŚĆ Z JEDNEJ STRONY

— Gospodarzu, weźcie na łańcuch psa. Lękam się, żeby się na mnie nie rzucił.

— Bez strachu! jestem pewny, że was nie ukąsi.

— Bardzo to pięknie, że wy jesteście pewni, ale czy i wasz pies jest pewny, że mnie nie pogryzie?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie